Wpisano do kontroli periodyków
2 Rejonowej Bibliotek Publicznej
Łódź - Widzew
Dn. 23 XI 1968

Dziś w numerze: Należeć i odpowiadać • Muzeum czynu zbrojnego • Mojej pani • Zawiedzione nadzieje Mexico 68 • Medaliony • Śmierć w słońcu • Wiersze • Felietony • Recenzje

odgłosy

47 (577)
24. XI. 1968 r.
10 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XI

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Przygotowanie startu do nowoczesności

Sześć dni obrad, od godz. 9 do 20, a czasem dłużej. Setki dziennikarzy krajowych i zagranicznych, kilometry taśmy magnetofonowej i filmowej, codziennie „Biuletyn Zjazdowy" wydawany przez zespół „Agencji Robotniczej", osiemdziesięciu sześciu mówców i „Sprawozdanie Komitetu Centralnego" opublikowane na... 200 stronach druku. Taki jest dorobek V Zjazdu widziany od strony jego obsługi technicznej, choć jest to tylko jedna strona tej obsługi, bo dla pełności obrazu trzeba byłoby dodać wysiłek tłumaczy, łącznościowców, transportu, pracowników handlu i gastronomii itd. Wszyscy oni dbali, aby delegaci mogli całkowicie oddać się sprawom najważniejszym — ustaleniu kierunków i metod działania na okres najbliższych 4 lat.

Sprawozdanie Komitetu Centralnego i wystąpienia delegatów objęły całokształt problematyki życia krajowego, polityki zagranicznej i stanowiska PZPR zajmowanego w międzynarodowym ruchu robotniczym. Do spraw tych będzie okazja wracać jeszcze niejednokrotnie. Uważny obserwator obrad, zajmujący miejsce w loży prasowej, na sali czy śledzący ich przebieg za pośrednictwem prasy i telewizji, zmuszony jest do selekcji materiału, do wybierania z jego bogactwa tylko tych problemów, które aktualnie go przede wszystkim interesują. Postąpmy zatem podobnie i zajmijmy się olbrzymią i bogatą sferą zagadnień dotyczących sprawnego działania gospodarki.

DLA DOBREGO STARTU

„Końcowe lata obecnego planu pięcioletniego — mówił ze zjazdowej trybuny Władysław Gomułka — **traktujemy jako okres przegrupowania sił i środków, mający na celu przygotowanie do realizacji na szerszą skalę zadań dalszej rozbudowy i rekonstrukcji gospodarki narodowej, jakie stawiamy w perspektywie lat najbliższych".**

Ekonomiści i planiści, to ogólne założenie przekładają na język wskaźników. Ma więc w latach 1969—1970 nastąpić wzrost dochodu narodowego o około 12 proc. Każdego roku z tych 2 lat produkcja globalna przemysłu będzie wzrastać o około 8 proc., przy czym produkcja środków wytwarzania wzrastać będzie o niecałe 9 proc., a przedmiotów spożycia o około 6.5 proc. O około 8 proc. rocznie powinna wzrastać sprzedaż krajowych towarów na rynkach zagranicznych. Wymagać to będzie zmiany struktury eksportu, dalszej specjalizacji produkcji przeznaczonej na rynek zagraniczny, a także rozwoju zdolności produkcyjnych we wszystkich gałęziach gospodarki.

Przygotowanie startu do przyszłej pięciolatki, której generalnym założeniem jest unowocześnienie gospodarki kraju, wymaga rozbudowy hutnictwa żelaza i metali kolorowych oraz przemysłu materiałów budowlanych. Jest bowiem coś paradoksalnego w sytuacji, w której każdego roku poszczególne przemysły i gałęzie gospodarki zwracają do skarbu państwa... nie wykorzystane pieniądze, a przeznaczone przecież na ich dalszy rozwój. Doskonale znamy przyczyny tego — niedorozwój przedsiębiorstw budowlanych i przemysłu materiałów budowlanych. Obliczono, że program inwestycyjny wymaga, aby w latach 1969—1970 produkcja budownictwa wzrosła o około 14 proc., a w roku 1975 — o około 35 proc. w porównaniu z poziomem 1970 roku. W praktyce oznacza to, że będzie ona musiała wzrosnąć o około 40 proc., inaczej nie stworzy się rezerwy produkcyjnej na lata następne po 1975 roku.

Program rozwoju Łodzi i Ziemi Łódzkiej był już wielokrotnie dyskutowany i konsultowany w różnych środowiskach. Z trybuny zjazdowej mówili o nim pierwsi sekretarze KŁ i KW PZPR — **Józef Spychalski i Stefan Jędryszczak.**

Dalszy ciąg na str. 3

ROZMAWIAMY Z J. M. PROF. DR INŻ. MIECZYSŁAWEM SERWIŃSKIM

Politechnika znaczy: nauka i przemysł

— Panie Rektorze, bieżący rok akademicki rozpoczął się w obliczu reformy studiów na wyższych uczelniach. Czy wywołało to już jakieś zmiany w toku studiów na Politechnice Łódzkiej?

— Dla ścisłości muszę wyjaśnić, że reforma programu nauczania jest od czterech lat wprowadzana we wszystkich politechnikach kraju, nie jest więc w tym roku dla naszej Politechniki nowością.

— Na czym polega reforma studiów politechnicznych?

— Można ją ująć w trzech głównych punktach: wzmacnianie podstaw teoretycznych tak, by dyscypliny specjalne mogły być rozwijane w oparciu o dobre opracowania teoretyczne (matematyka, mechanika, fizyka itd.); ograniczanie czasu zajęć studentów na uczelni maksymalnie do 36 godzin tygodniowo (dawniej ten typ zajęć zajmował 44 i więcej) oraz — co się wiąże z poprzednim punktem — opracowanie właściwych proporcji mię-

Dalszy ciąg na str. 4

ZE ŚWIATA

V Zjazd partii zakończył obrady. Wśród wielu nurtów dyskusji, jaka rozwinęła się na Zjeździe, jeden odnosił się do sytuacji międzynarodowej. Już sama obecność 40 delegacji partii komunistycznych i robotniczych nadała mu ważny międzynarodowy charakter. W swych wystąpieniach powitalnych przewodniczący delegacji zagranicznych podjęli najważniejsze problemy światowe. A więc Wietnam i Bliski Wschód, bezpieczeństwo europejskie, wciąż wystawiane na próby z powodu godzącej w nie polityki NRF, jedność działania światowego ruchu komunistycznego w walce z imperializmem.

Te problemy najczęściej przewijały się w wystąpieniach zagranicznych gości Zjazdu, zapoczątkowanych, niezwykle serdecznie przyjętym, przemówieniem Leonida Breżniewa. Były wśród nich również słowa powitalne z partii, działających w rejonach szczególnego nacisku imperializmu amerykańskiego — z Wietnamu i Bliskiego Wschodu.

Problematyce międzynarodowej poświęcone były także liczne głosy w dyskusji, a w tej liczbie i premiera Cyrankiewicza. Powracano w nich do sprawozdania Komitetu Centralnego PZPR na V Zjazd, w którym obszerny rozdział zajmuje się oceną sytuacji międzynarodowej i polityki zagranicznej PRL.

Jakie są podstawowe elementy tej oceny?

Minione czterolecie, jakie upłynęło od poprzedniego Zjazdu, potwierdziło, że imperializm bezpowrotnie utracił możliwość samowolnego decydowania o losach narodów. Zdumiewające wyniki Związku Radzieckiego w rozbudowie jego ekonomicznego i obronnego potencjału są podstawą siły państw Układu Warszawskiego.

Postępy socjalizmu, dokumentowane m. in. wyższym niż w krajach kapitalistycznych wzrostem produkcji przemysłowej i przyrostem dochodu narodowego — napotykają przeciwdziałanie imperializmu. Uwidacznia się to w jego agresywności, powodowaniu wojen lokalnych. Mimo iż ich zasięg jest ograniczony — niosą one poważne niebezpieczeństwo, ponieważ mogą się stać detonatorem światowego konfliktu.

Koncepcja wojen lokalnych, tak jak uprzednio całkowitej konfrontacji, załamuje się jednak. Nie osiągnęły celu Stany Zjednoczone w Wietnamie, po pięciu latach wielkiego militarnego wysiłku będąc zmuszone do odwrócenia procesu eskalacji działań wojennych. Nie zrealizował swą ubiegłoroczną agresją wyznaczonych mu zadań Izrael, ponieważ nie udało się sparaliżować antyimperialistycznych dążeń narodów arabskich.

Na kontynencie europejskim czynnikiem wzmagającym napięcie jest polityka NRF. Od chwili swego powstania NRF kwestionuje powojenny porządek w Europie i działa paraliżująco na ograniczenie zbrojeń. Torpeduje ona propozycje krajów socjalistycznych, odrzucając również polski plan utworzenia strefy bezatomowej. Chociaż kanclerz Kiesinger obrał inną taktykę niż jego poprzednicy: Adenauer i Erhard — dąży przecież do tych samych co oni celów. Istotą tzw. nowej polityki wschodniej, proklamowanej przez obecny, koalicyjny rząd NRF, jest rozbicie jedności obozu socjalistycznego i izolowanie Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Wobec niemożności zrewidowania istniejącego układu sił — na drodze militarnej — koła polityczne Bonn zamierzają obalić status quo na drodze pokojowej rewizji. Wydarzenia do 21 sierpnia w Czechosłowacji dowodzą, jak dalece koła te odeszły od zasad pokojowego współistnienia.

Sprzymierzeńcem sił, zmierzających do deformowania socjalizmu i jego ewoluowania w kierunku burżuazyjnym stał się rewizjonizm, którego rolę wykazały właśnie wydarzenia czechosłowackie. Torował on tam drogę ofensywie sił jawnie już prawicowych i kontrrewolucyjnych. Kroki podjęte przez 5 państw Układu Warszawskiego w dniu 21 sierpnia były więc w istocie działaniem profilaktycznym w obronie bezpieczeństwa i pokoju w Europie.

Imperializm nie rezygnuje z prób zmiany istniejącego stanu rzeczy na naszym kontynencie. W tej sytuacji zasadniczą rolę spełnia Układ Warszawski — obronny pakt równoprawnych państw. W jego umacnianie Polska wnosić będzie nadal swój wkład. Będzie również rozwijać sojusz z ZSRR i innymi krajami socjalistycznymi.

Zasadniczym elementem naszej polityki jest działanie na rzecz pokoju i bezpieczeństwa narodów. Omówieniem zespołu środków temu służących powinna zająć się konferencja państw europejskich. Popieramy także radzieckie propozycje, zmierzające do umocnienia pokoju, propozycje, których cały pakiet przedstawiony został na sesji ONZ.

„Kieruje nami — jak pięknie powiedział Władysław Gomułka na zamknięcie obrad Zjazdu — zarówno troska o interesy własnego narodu, jak i zrozumienie nierozerwalnej więzi między interesami Polski a interesami socjalizmu i postępu na świecie, wierność najszczytniejszym ideałom internacjonalizmu, jakie odziedziczyliśmy po tych, którzy przez dwa stulecia na wszystkich frontach walczyli pod hasłem „Za waszą wolność i naszą".

Zjazd w przyjętej uchwale wyraził pełną aprobatę partii, a także aprobatę narodu dla naszej polityki międzynarodowej, dla wysiłków Polski w celu wyeliminowania niebezpieczeństwa wojny i respektowania woli narodów.

W. SŁAWSKI

Po co nam ta filozofia?

TADEUSZ MENDELSKI

Chcę tu napisać o zjawisku dziwnym i zasmucającym zarazem, jakie miałem okazję zaobserwować podczas mojej pięcioletniej pracy ze studentami prowadząc ćwiczenia z filozofii. Myślę o uporczywie powtarzanym przez większość studentów, oficjalnie na ćwiczeniach i w rozmowach prywatnych, pytaniu: „Po co nam ta filozofia?". Pytanie o przydatność, czy sens tego, co się robi nie jest oczywiście niczym zdrożnym. Najgorsze jednak, że tutaj pytanie to zadawane jest najczęściej takim tonem, który nie pozostawia cienia wątpliwości, jaką odpowiedź na nie ma student na myśli. Wypowiedzi tego rodzaju wykazują wyraźnie, że w najgłębszym przekonaniu studenta „ta" filozofia do niczego mu nie służy, jest przy tym trudna i niewdzięczna w uczeniu. Opinia ta daje się odczuć nawet jeśli na egzaminie student potrafi wyrecytować odpowiedź na pytanie o przedmiot i zadania filozofii. Nagminne występowanie tego rodzaju oceny przydatności kursu filozofii zmusza do głębokiego zastanowienia. Wyjaśnić trzeba koniecznie, dlaczego przedmiot ten, kluczowy dla zrozumienia skomplikowanego współczesnego świata, ponosi porażkę w zdobywaniu umysłów i serc studentów.

Wprowadzanie filozofii dokonywane jest na dwa sposoby, dla wydziałów humanistycznych UŁ poprzez historię filozofii, dla wydziałów przyrodniczych UŁ i Akademii Medycznej przez systematyczne wyłożenie problemów ontologicznych i teoriopoznawczych. Przyjrzyjmy się tym programom bliżej.

Sposób dla wydziałów humanistycznych (filologia, historia) polega na wykładaniu historii filozofii od czasów narodzin filozofii greckiej do współczesności. Gdy przychodzi na to czas (a więc gdzieś w połowie roku akademickiego) wykłada się również filozofię Marksa i Engelsa, na końcu zaś parę kierunków współczesnej filozofii niemarksistowskiej. Odpowiednio do wykładów prowadzone są ćwiczenia z tekstów omawianych na wykładzie filozofów. Jak tę metodę wprowadzenia do zagadnień filozoficznych widzą studenci? Obiekcje wywołuje fakt, że bez żadnego wstępnego wyjaśnienia podstawowych pojęć, żadnego ogólnego przygotowania filozoficznego daje im się do ręki teksty filozofów sprzed wielu wieków, skacząc w dodatku co tydzień o jedno lub dwa stulecia, od Platona do Hegla. To szalone tempo podróży po mrocznej dla studenta krainie dziejów filozofii sprawia, że już pod koniec pierwszego semestru student ma porządne pomieszanie różnych pojęć i kierunków filozoficznych. Potem przychodzi kilka tematów z filozofii marksistowskiej, następnie kilka zajęć ze współczesnej filozofii burżuazyjnej. Rezultatem tego jest, przy końcu roku, student pseudo-erudyta filozoficzny, który coś tam wie o Platonie, coś tam wie o o Kancie, coś tam wie o Marksie, poglądy jego nie łączą się jednak w żadną systematyczną całość, nie tworzą jakiegoś konsekwentnego światopoglądu. Wszystkie poglądy wydają mu się równouprawnione, nie potrafi wskazać hierarchii wartości i ważności rozwiązań proponowanych przez najróżnorodniejsze kierunki filozoficzne. Otrzymuje bowiem przypadkowo zestawione strzępy różnej problematyki, etycznej, epistemologicznej, ontologicznej, historiozoficznej, nie w systematycznym związku, lecz z okazji omawiania, którejś z historycznych postaci filozofa. Chciałbym być tu dobrze zrozumiany. Nie jestem przeciwnikiem studiów historycznych w dziedzinie filozofii, byłoby to stanowisko absurdalne. Nie można jednak rozpoczynać studiowania jakiegoś przedmiotu, wychodząc od badania jego historii. Każde badania historyczne, w jakiejkolwiek dziedzinie wiedzy, dokonuje się przecież na podstawie wiedzy o współczesnym stanie problematyki, jako pomoc w rozwiązywaniu problemów aktualnych, pasjonujących badacza dziś. Rozpoczynanie zajęć z filozofii od wykładania jej historii uczynić musi ze studenta antykwariusza myśli, który nauczy się zbierania cudzych, zakurzonych już porządnie myśli, nie posiądzie jednak wcale umiejętności samodzielnego użycia filozofii, jako skutecznego narzędzia dla rozwiązywania jego własnych problemów naukowych i życiowych, jednym słowem umiejętności filozoficznego myślenia. Dla człowieka spoza klanu zawodowych historyków filozofii, platońska teoria idei może być interesująca dziś, tylko jako pewne rozwiązanie w kontekście współczesnych dyskusji nad problemem powszechników (a ten z kolei pojawić się może na przykład w dyskusji nad pojęciem narodu) czy współczesnych dyskusji nad podstawami matematyki, sama w sobie należy już do antykwariatu myśli.

Rozpoczynanie wykładu z filozofii od analizowania tej koncepcji czy jeszcze wcześniejszych ontologicznych koncepcji Talesa, Empedoklesa czy Anaxagorasa jest nieporozumieniem. W rezultacie bowiem student, dowiadując się na jednym z pierwszych wykładów, że na początku filozofia uznała wodę jako zasadę wszelkiego bytu i stykając się następnie z niejednym jeszcze tworem wybujałej wyobraźni filozoficznej, groteskowym często dla współczesnego człowieka, zaczyna wierzyć, że na dobrą sprawę z wodą filozofia nie zerwała nigdy. Znaczenie tych różnych, wyglądających dziś naiwnie lub niepoważnie koncepcji filozoficznych docenić potrafi bowiem tylko ktoś, kto zna współczesny stan wiedzy filozoficznej i potrafi zrozumieć jak ważną rolę grały takie koncepcje w kształtowaniu się współczesnego filozoficznego i naukowego obrazu świata. Takiej zaś wiedzy studentowi przerabiającemu ten kurs jest właśnie brak, dyskusja nad problemami współczesnymi zredukowana jest bowiem do minimum i przesunięta na koniec programu. Nie może więc służyć jako perspektywa w ujęciu zagadnień historycznych. Takie ułożenie programu kursu propedeutycznego z filozofii jest błędem metodycznym i dydaktycznym, utrudnia bowiem zamiast ułatwiać zrozumienie problemów filozoficznych, wyrabia poza tym u studenta nawyk lekceważenia filozofii jako sposobu myślenia.

Podstawowych błędów poprzedniego programu unika program drugi, realizowany przez katedrę na wydziałach przyrodniczych Uniwersytetu i na Akademii Medycznej. Jest to w zamierzeniu systematyczny wykład podstawowych problemów epistemologicznych i ontologicznych, pokazanych z punktu widzenia współczesnego stanu wiedzy filozoficznej, z uwzględnieniem pewnych wiadomości z historii filozofii o tyle, o ile mogą one pomóc w zrozumieniu współczesnego stanu problematyki. Zdawać by się więc mogło, że program ten winien znaleźć uznanie w oczach studentów, daje im bowiem pewien obraz współczesnej problematyki filozoficznej. Program ten spotyka się jednak z gorętszym bodaj jeszcze ich sprzeciwem, szczególnie w Akademii Medycznej. Z przebogatej problematyki filozoficznej wybrane jest bowiem akurat to, co ma najmniejsze szanse zainteresowania człowieka stykającego się z filozofią po raz pierwszy. Student grzęźnie tu w dominującej problematyce metodologicznej i ontologicznej, pasjonującej wąskie raczej grono specjalistów — logików, metodologów nauki czy przyrodników o ambicjach filozoficznych. Od problematyki tej dodatkowo odstrasza studenta sposób jej zaprezentowania, w oderwaniu od jego przedmiotu studiów. Nie widzi on bowiem potrzeby refleksji metodologicznej w zastosowaniu do jego nauki. Metodologia uprawiana jest tutaj jako sztuka dla sztuki, dlatego mimo najszczerszych chęci student nie potrafi znaleźć dla niej jakiegokolwiek zastosowania praktycznego. Oderwanie programu filozofii od rzeczywistych zainteresowań i intelektualnych potrzeb studenta widoczne jest w sposób szczególnie drastyczny w przypadku Akademii Medycznej, gdzie od dawna zajęcia z filozofii cieszą się ponurą sławą. Młody człowiek, który dzięki kursowi filozofii ma szansę, być może jedyną, zetknięcia się z problematyką humanistyczną, zamiast dyskusji nad zagadnieniami jakie muszą go pasjonować, jako jednostkę społeczną, obywatela państwa i jako przyszłego lekarza, dostaje końską dawkę problemów metodologicznych i ontologicznych, do analizowania których nie jest absolutnie przygotowany, natomiast dawkę iście homeopatyczną filozoficznej wiedzy o człowieku i społeczeństwie, wiedzy na temat moralnych postaw człowieka nie otrzymuje zaś ani na lekarstwo. I to wszystko pod szyldem: „Główne zagadnienia filozofii marksistowskiej". A przecież pacjentem jego będzie chory **człowiek** i o człowieku winien wiedzieć jak najwięcej, nie tylko o tym jak jest zbudowane i jak funkcjonuje jego ciało. Jako student medycyny, dowiedziałby się chętnie nawet o tym, co filozofowie sądzą na temat śmierci, ze śmiercią stykać się będzie bowiem na co dzień, w trakcie pełnienia swoich obowiązków zawodowych. Czyż nie jest nad wyraz dziwaczna sytuacja, gdy student medycyny męczy się i zanudza problemem na przykład czasowo przestrzennej struktury materii, zamiast zostawić to studentowi fizyki, dla którego problem wiąże się bezpośrednio z dyscypliną, jaką uprawia i może się tu kompetentnie wypowiadać, a zająć się którymś z problemów etycznych, tak ważnych dla niego jako przyszłego lekarza?

Obydwa programy grzeszą schematyzmem i oderwaniem od rzeczywistości życia politycznego, społecznego, naukowego i osobistego, studenta. Są schematyczne, bo nie są zróżnicowane w zależności od wydziału na jakim są realizowane. Na filologii polskiej nie zwraca się uwagi na te kierunki filozoficzne, które miały bezpośredni wpływ na literaturę, na historii nie poświęca się należytej uwagi koncepcjom z zakresu filozofii historii. Są oderwane od życia politycznego i społecznego, gdyż zagadnienia współczesnej walki ideologicznej, walki materializmu historycznego z rozmaitymi burżuazyjnymi teoriami rozwoju i funkcjonowania społeczeństwa są w tych programach nieobecne. Są oderwane od życia osobistego studenta, gdyż traktuje się w nich po macoszemu problemy postaw człowieka, sensu życia itp. A właśnie, jak pokazuje moja wieloletnia praktyka, podjęcie jakiegoś tematu z dziedziny, gdzie filozofia zazębia się z polityką lub dotyka jakichś innych żywotnych dla studenta spraw rodzi się burzliwa, ciekawa dla obydwu stron dyskusja. Rzecz więc w tym, by dyskusje te mogły się odbywać nie wbrew programowi czy obok programu, lecz by program wychodził naprzeciw zapotrzebowaniu na takie dyskusje. Jest to jednocześnie jedyny sposób zdobycia studentów dla filozofii, a nie skutecznego od niej odstraszania.

Potrzebna jest więc gruntowna zmiana sposobu wykładania filozofii, nie wystarczą tu jakieś drobne, uaktualniające retusze. Zajęcia z filozofii winny stać się forum wymiany myśli na wszystkie nurtujące młodzież tematy i problemy, w rozwiązaniu których filozofia jest w stanie pomóc myśli swobodnej, żywej, nie uciekającej od aktualnej problematyki politycznej, choćby nawet drażliwej. W takich warunkach można będzie dopiero mówić o ideowo-wychowawczej roli tych zajęć. Sprawa programu zajęć z filozofii, bądź co bądź głównego przedmiotu ideologicznego w programie studiów, wymaga więc szerokiej, społecznej dyskusji. Jako zachęta do tego rodzaju dyskusji pomyślany jest też mój artykuł. Kieruję go przede wszystkim do studentów, którzy przez kurs filozofii już przeszli i mogą powiedzieć co kurs ten im przyniósł i których uwagi były dla mnie bodźcem do napisania tego artykułu.

Szczera młodzieńcza ideowość

Rocznice są zawsze okazją wyzwalającą różnego rodzaju inicjatywy i przedsięwzięcia. Tak też ma się rzecz z obchodzoną 50 rocznicą odzyskania niepodległości, z rocznicą powstania KPP, wreszcie ze zbliżającym się ćwierćwieczem PRL. Te trzy monumentalne i pomnikowe w historii narodu polskiego święta stały się motorem konkursu ogłoszonego w łódzkim Liceum Sztuk Plastycznych. Nie chodziło zresztą o sam konkurs, nie szło w końcu o określoną ilość obrazów i grafik. Wydaje się, że w tej inicjatywie pedagogów z liceum plastycznego ważniejszy jest fakt włączenia młodzieży, w sposób właściwy dla specyfiki szkoły, w problematykę naszej narodowej historii, w sprawy rewolucyjnych ruchów polskiej klasy robotniczej... Forma konkursu — atrakcyjna przecież dla młodzieży — pozwalała na czynne i samodzielne dotarcie do spraw, faktów i zagadnień, jakimi w dniach wielkich polskich rocznic, w miesiącu V Zjazdu partii żyje całe dorosłe społeczeństwo.

Efekty przeszły wszelkie oczekiwania. 300 uczniów Liceum Sztuk Plastycznych zgłosiło do konkursu ponad 350 prac — obrazów, grafik, rysunków, projektów plakatów. 57 prac szkolne jury nagrodziło i wyróżniło. W trzech konkursowych pionach (w zależności od klasy — trudno przecież oceniać według tych samych kryteriów ucznia klasy pierwszej i maturzystę) — pierwsze nagrody otrzymali: **Teresa Mamełka, Ryszard Markowski, Lidia Barburska, Jerzy Jaruga, Halina Kasper, Romuald Kuchciak, Alicja Mirońska, Ewa Dawidowska, Mariusz Sklepik, Marek Czajkowski.**

Oglądałem te prace. Oczywiście trudno przykładać do uczniowskich obrazów miary dojrzałego dzieła plastycznego — tu ważniejsza jest autentyczność przeżycia tematu, głębokie zaangażowanie w społeczną problematykę, ważny jest masowy udział młodzieży liceum w tym konkursie. Ale przecież niezależnie od tych niewątpliwych aspektów wychowawczych konkurs przyniósł sporą ilość prac na naprawdę dobrym poziomie, prac oryginalnych, dalekich od sztampy, jakiej nieraz i dojrzały artysta ograniczony ramami tematu, nie zawsze potrafi się ustrzec.

Szczególną uwagę zwraca pełen ekspresji obraz Mariusza Sklepika „Demonstracja", z wyrazistymi sylwetkami policjantów na pierwszym planie i tłumem demonstrantów potraktowanym w zupełnie innej konwencji — tłumem stanowiącym kompozycyjny i kolorystyczny monolit, plamę z czerwonymi pasemkami transparentów. Oryginalną i chyba zupełnie dojrzałą grafikę zaprezentował R. Kuchciak. Pod przytłaczającą czernią wypełniającą niemal cały rysunek widzimy stłoczone, leżące, białe sylwetki ludzi. Prosta lecz jakże wstrząsająca symbolika lat martyrologii narodowej 1939—45.

To tylko dwa przykłady świadczące, że zaangażowanie w tematykę określoną ramami konkursu, przyniosło tak że artystycznie ciekawe rezultaty. Ale najważniejsze jest co innego — społeczna dojrzałość młodych plastyków, umiejętność przeżywania spraw dla nich, nastolatków, tak odległych — to wszystko co można nazwać szczerą, młodzieńczą ideowością.

JERZY WILMAŃSKI

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

Należeć i odpowiadać

Myślę, że chyba każdy uczestnik V Zjazdu naszej partii, zasypywany jest pytaniami. Prasa, radio i telewizja relacjonowały w obszernych na ogół fragmentach poszczególne wystąpienia, a jednak ludziom tego za mało, chcą wiedzieć więcej, pytają o atmosferę, dyskusje w przerwach, pytają o tak zwane kuluary, nocne po hotelach delegatów rozmowy, pytają o coś nieoficjalnego, a jednak ogromnie ważnego.

Mam jeszcze w oczach olbrzymią Salę Kongresową, wypełnioną po brzegi delegatami i gośćmi, pamiętam ich znakomitą reakcję na wypowiedzi ważne, najbardziej za troskane o dalszy rozwój socjalizmu w naszym kraju, widzę grupy uczestników tego partyjnego sejmu, dyskutujące zawzięcie na korytarzach i w kawiarniach Pałacu Kultury, pamiętam nasze noce, te właśnie hotelowe, kiedyśmy sobie do łbów skakali po tym, czy innym przemówieniu.

Tym czy też innym, ale tyczącym spraw kultury, wychowania i literatury, no, bo to są dziedziny nam najbliższe. Nam, czyli nie tak znowu licznej, ale i owszem, dość hałaśliwej grupie pisarzy i działaczy na rozmaitych polach kultury. Nie mogę, gdyż po prostu nie potrafię, przekazać czytelnikom „Odgłosów", jakiejś generalnej syntezy całości obrad, mówiono bowiem o sprawach z pewnością niezwykle istotnych, ale niezbyt mieszczących się w mo jej głowie. Nie mogłem np. w żaden sposób pojąć czemuż to tak u nas zachwalana kooperacja przy nosi dość żałosne wyniki w przypadku budowy samochodów „Star", no bo tyle przedsiębiorstw składa ten samochód, że zawsze z połowa nawali. Trudno mi też pojąć — chodzi o samochody — że u nas, zwłaszcza na Kielecczyźnie, marnujemy tysiące litrów mleka, ponieważ elementarne potrzeby transportu nie są zaspokojone, a odpowiednie resorty uspokojone. Nie mogąc pojąć najgłębszych, prawdziwych przyczyn tych niezwykłych zjawisk chwytałem bez trudu atmosferę doprawdy znakomitej, szczerej, krytycznej i mocno zatroskanej o losy ojczyzny dyskusji. Takiej dyskusji nie pamiętali nawet starzy zjazdowicze, którzy widzieli przynajmniej trzy poprzednie Zjazdy.

W sprawach najbardziej nas interesujących padło niemało głosów. Przemawiało na tematy wychowania pokoleń kilkunastu mówców, w dyskusji mówiło także czterech pisarzy, przyjmowanych zresztą bardzo gorąco przez salę, z czego nietrudno wnosić, że problematyka naszego życia ideowo-kulturalnego sporo zajmowała miejsca podczas Zjazdu.

Przedstawiciele wyższych uczelni Gdańska, czy — przykładowo wskazując — Lublina, przekonali nas bez trudu, że partyjna i postępowa profesura, wyciąga odpowiednie wnioski z bolesnej lekcji marcowej. Do rozprawy z rewizjonistami nikt z nich nie wkładał białych rękawiczek, chociaż zdarzali się i tacy, którzy otwierali ze zdziwieniem oczy, kiedy mówio no o kameleonach. Owe kameleony bywały w czasach stalinowskich hura-marrrrrksistami, zasypywały kraj milionami egzemplarzy swoich dogmatycznych poga danek ekonomicznych i innych, a po październiku doszły do przekonania, że przy pomocy magicznego hokus-pokus dowiodą, iż marksizm można rozcieńczyć, rozpuścić jak kawałek cukru w wodzie.

Walka z rewizjonizmem nie może — rzecz prosta — polegać na samym wskazaniu czynnych i przyczajonych „poprawiaczy", lecz także na odpowiedniej pracy ideowo-wychowawczej z młodzieżą, na rzetelnej i otwartej dyskusji z wrogimi poglądami. Wykorzenienie programu negacji nie jest przecież równoznaczne z programem pozytywnym. To, co powiedzieli mówcy, zatroskani o nasz system wychowawczy w szkołach wszystkich typów, znalazło się w uchwałach zjazdowych. Poszanowanie pracy i twórczego wysiłku ludzkiego, wpajanie poczucia odpowiedzialności za losy kraju, zaznajamianie z wartościami rangi najwyższej i najbardziej postępowej, umiejętne kojarzenie patriotyzmu z internacjonalizmem, to wszystko powinna przyswoić sobie młodzież, która wszystko cośmy w tym kraju stworzyli — odziedziczy.

Wielu mówców słusznie podkreślało, że współczesna walka imperializmu z socjalizmem nie da się zmieścić tylko w kategoriach ekonomicznych, to także zacięta walka w płaszczyźnie ideologii i kultury. A na tej płaszczyźnie mowy być nie może o porozumieniu czy też współistnieniu. Towarzysz Kruczek zauważył dowcipnie, że nasi i w ogóle rewizjoniści, począwszy od tradycyjnej jaśniepańskiej reakcji na syjonistach skończywszy, to nie są godni litości „bracia odłączeni błądzący w ciemnościach", lecz wyjątkowo sprytni wrogowie, z którymi trzeba walczyć, a nie poklepywać, zalecać „niedrażnienie", czy leczyć snem. Walczyć stosując nie tylko zabiegi personalne, lecz konkretnie wychowywać. I właśnie rolę tego konkretnego programu ideowego wychowania podkreślali przedstawiciele wyższych uczelni i organizacji młodzieżowych.

Wyjątek stanowiła młodziutka aktywistka z Bielska-Białej. Pomijam już fakt, że miała pewne kłopoty z czytaniem tekstu, chodzi o sens wypowiedzi. Nasza młodziutka działaczka miała sporo racji, kiedy atakowała typowo zachodnie wzorce życiowe podsuwane młodzieży, miała ją też demaskując cały ów typowo mieszczański, snobistyczny i sobkowski styl życia, no, ale jej program pozytywny wypadł dość żenująco. Wychodziło na to, że zabawa przy jazzowej muzyce, własny samochód, chęć uzyskania wyższych zarobków bardzo, ale to bardzo szkodzą socjalistycznemu wychowaniu młodzieży. Myślę, że więcej szkodzi tego rodzaju chińska mowa.

Wspomniałem już, że w dyskusji wzięło udział czterech pisarzy. Udział może nie nazbyt wielki ilościowo, lecz — sądzę — ogromnie istotny. W uchwałach V Zjazdu można przeczytać:

„Udostępniając społeczeństwu najlepsze osiągnięcia kultury narodowej i światowej — partia z całym zdecydowaniem będzie popierać rozwój tej twórczości i upowszechnianie przede wszystkim tych dzieł sztuki, które kształtując wrażliwość na prawdę i piękno, sprzyjają utwierdzeniu się socjalistycznego światopoglądu i socjalistycznych stosunków między ludźmi. Jednocześnie partia będzie konsekwentnie przeciwstawiać się przenikaniu treści wstecznych i antysocjalistycznych, obcych nam ideowo i niosących ze sobą pesymizm i nihilizm moralny".

Ten właśnie, a nie inny fragment uchwał, poświęconych polityce kulturalnej, narzuca się z okazji wystąpień naszych kolegów pisarzy z Opola, Szczecina i Śląska. Na ziemiach, które powróciły do nas na zawsze tworzy i działa około 250 pisarzy. Tworzy książki, tkwiące niekiedy bardzo głęboko w tamtej glebie, działa w setkach instytucji upowszechniających kulturę. Literatura powstająca od lat na naszych ziemiach zachodnich i północnych szczerze zaangażowana, mówi nie tylko o wielkiej i dramatycznej epopei zasiedlania, lecz sięga życia współczesnego górnika, idzie w głąb życia mazur skiej wsi i nie najgorzej radzi sobie z rewanżystami zachodnioniemieckimi.

Jakaś część naszej snobistycznej „europejskiej" krytyki całymi latami pomijała trud i osiągnięcia tych właśnie pisarzy. Nasi krytycy spod tego znaku w ogóle nie dostrzegali faktu istnienia literatury poza rogatkami Warszawy, a i w stolicy widzieli tylko swoich. Podobnie czynili i prawodawcy dla literatury.

Otóż te meandry, wzdłuż których rozwijała się nasza literatura, przypomniały się każdemu z nas, kiedy słuchaliśmy mądrych wypowiedzi naszych kolegów. Jest w Polsce typ pisarza, który rozumie, że poza własnym narodem, jego klęskami i zwycięstwami two rzyć niepodobna. Jakże smutno na tle tych skromnych wypowiedzi wyglądają ci, którzy sobie wzięli w pacht nasz kraj na jakiś czas, a potem go rzucili, by znieważać. Albo też pozostając nawet w kraju wyemigrowali do jakiejś Europy, jakby istniał gdzieś na niewiadomym Zachodzie wielki azyl, gdzie można przed spokojnym snem powiedzieć sobie — za nic nie odpowiadam, do niczego nie należę, jestem samotny, nie muszę opowiadać się po tej, czy tamtej stronie, ponieważ nie ma stron.

Tak to jednak nie jest. Płyną z Europy obce kapitały, wspierają agresorów, powiększają się bazy wojenne, rozpełzli się po Europie bońscy specjaliści wojskowi, ostrzą długie noże rewizjoniści, już dziś krzyczą głośno, że nie uznają żadnego status quo powojennego, już nawet Czechosłowację wymazali z mapy naszego obozu. Nie ma więc azylu, trudny zawód pisarza to nie jest szczególna postać urlopu od rzeczywistości, przeciwnie, czynić powinność pisarską w naszym kraju to znaczy — należeć i odpowiadać. W tym duchu przemawiał także Władysław Machejek, niesłychanie gorąco przyjęty przez uczestników Zjazdu.

Dobrze się stało, że na V Zjeździe naszej partii, w gorącej aurze konstruktywnej, otwartej i szczerej dyskusji, nie brakło głosu pisarzy, równie jak inni zatroskanych o naszą przyszłość.

Przygotowanie startu do nowoczesności

Dalszy ciąg ze str. 1

DLA ŁODZI oznacza to unowocześnienie i przebudowę przemysłu lekkiego, a także specjalizację w produkcji obrabiarek, aparatury niskiego i wysokiego napięcia oraz maszyn włókienniczych. Dla Łodzi otwiera się też możliwość podjęcia produkcji maszyn dziewiarskich, do tej pory w kraju nie produkowanych. Modernizacja przemysłu lekkiego, głównie bawełnianego pozwoli na obniżenie stanu zatrudnienia o około 15 tys. ludzi, którzy będą przeniesieni do pracy w przemyśle elektrotechnicznym i maszynowym, tak bardzo odczuwającym brak rąk do pracy.

DLA ZIEMI ŁÓDZKIEJ oznaczą to dalszą aktywizację rejonów słabo lub wcale nieuprzemysłowionych, intensyfikację rolnictwa, większe wyposażenie go w maszyny i środki chemiczne, zapewnienie budownictwu niezbędnego parku maszynowego i możliwości do wykonania poważnego programu inwestycji.

REZULTATEM tego będzie poprawa warunków życia zarówno mieszkańców miast jak i wsi, rezultatem tego będzie unowocześnienie Łodzi — miasta, które ma wiele do odrobienia.

NIEZBĘDNE WARUNKI

Program realizują ludzie. Muszą oni zdawać sobie sprawę z warunków, jakie zadecydują o powodzeniu ich działania. Ze zjazdowej trybuny mówiono i o tym. Warunków jest kilka. Wymieńmy może najważniejsze.

GOSPODARNOŚĆ. Problem ten powracał wielokrotnie w zjazdowej dyskusji. Mówiono o nim w różnym kontekście i z różnego punktu widzenia. Górnik z Dąbrowy Górniczej — **Jan Soja** — przemówienie którego spotkało się z gorącym przyjęciem delegatów i opinii publicznej — powiedział m. in.:

„W zakładach pracy, na posiedzeniach samorządów robotniczych zastanawiamy się nad wydatkowaniem każdej społecznej złotówki. Niedobrze jest, jeśli — mimo wysiłków — nie potrafimy załatwić w porę często prostych, nieskomplikowanych spraw, które psują krew i wywołują niezadowolenie, a potem ludzie naprawdę odpowiedzialni za takie sprawy chowają się za plecy naszej partii".

Gospodarność — to uświadomienie sobie społecznego znaczenia własnego działania, to m. in. społeczne podejście do kooperacji. Problem ten podniósł **Stefan Jarosz** — mechanik FSC ze Starachowic. Na przykładzie brakującego detalu o wartości 50 zł pokazał ogrom strat, jakie ponosi fabryka, której do oddania gotowego produktu brakuje właśnie takiego drobiazgu. Zatem gospodarny jest nie tylko ten, kto u siebie w fabryce oszczędza surowiec, energię elektryczną i cieplną, stwarza warunki dla rozwoju ruchu racjonalizatorskiego, podnosi wydajność, ale również ten, kto niezależnie od tego wszystkiego zdaje sobie jeszcze sprawę ze **społecznych skutków** swojej produkcyjnej działalności. **Gospodarność jest bowiem zaprzeczeniem partykularyzmu** — zamykania się w kręgu własnego podwórka.

SAMORZĄDNOŚĆ. Jedną z cech demokracji socjalistycznej jest stopniowe, ale systematyczne przekazywanie niektórych uprawnień społeczeństwu, angażowanie obywateli do sprawowania władzy. Dotyczy to również przedsiębiorstw. Związki zawodowe i kierowany przez nie samorząd robotniczy odgrywają coraz większą rolę w systemie zarządzania. Pytanie tylko, czy dostateczną i czy załogi w pełni wykorzystują posiadane w tym zakresie uprawnienia?

Program rozwoju gospodarczego kraju, przygotowania bazy dla startu w następną pięciolatkę, zmusza do pełnego zastosowania w życiu gospodarczym zasady koncentracji.

„Musimy bardziej niż dotychczas — mówił premier Józef Cyrankiewicz — **przyswajać tę życiową zasadę szerokiemu aktywowi gospodarczemu, planistom i kierownikom gospodarczym wszystkich szczebli. Praktyka koncentracji nie jest praktyką prostą, bezbolesną".**

W tych gałęziach gospodarki, które w ramach koncentracji otrzymają maksimum środków na ich rozwój niezbędne stanie się pełne wykorzystanie uprawnień samorządowych. Chodzi przede wszystkim o funkcje kontrolne rady robotniczej i KSR. **„Rady robotnicze** — mówił Władysław Gomułka — **powinny dążyć do rozwinięcia efektywnej i bezpośredniej kontroli, wykorzystując w tym celu przede wszystkim wnioski z narad wytwórczych, będących jedną z bezpośrednich form udziału robotników i całej załogi w zarządzaniu zakładem pracy".**

KADRY — ZNACZY ODPOWIEDZIALNOŚĆ

Tadeusz Porębski — prorektor Politechniki Wrocławskiej postulował opracowanie jednolitej koncepcji wyższej szkoły technicznej, ostateczne rozstrzygnięcie sporu dotyczącego naukowo-badawczej i dydaktycznej roli wyższej szkoły. Zrozumiałe, że zadaniem wyższych szkół jest kształcić specjalistów dla przemysłu, życia politycznego, społecznego i kulturalnego, ale procesu dydaktycznego w żadnym wypadku nie można odrywać od procesu naukowo-badawczego. Problem kadr sprowadza się nie tylko do ich kwalifikacji zawodowych. W dziedzinie techniki między uczelnią, a praktyką musi istnieć ścisły związek. W praktyce — niezależnie od dziedziny życia — musi istnieć ścisły związek między kwalifikacjami, a postawą ideową i moralną. Tylko taki związek gwarantuje pełną odpowiedzialność za to, co się robi.

Wiele razy powracał w zjazdowej dyskusji problem polityki kadrowej, problem kształtowania stosunku do pracy, odpowiedzialności, wychowania ludzi. Mówili o tym m. in. — traktując te sprawy w różnym wymiarze — **Maria Paluch** z Bielska - Białej, **Stefan Jarosz** ze Starachowic, **Marian Plebankiewicz** z Tarnobrzegu, **Tadeusz Kosenko** z Lubina i **Marianna Wieczorek** z ZPW 9 Maja w Łodzi.

Zamykając obrady Władysław Gomułka powiedział między innymi:

„Polityka kadrowa zaczyna się — powiedziałbym — od sołtysa na wsi i od majstra w fabryce, od kierownika oddziału w zakładach i od kierownika sklepu, a kończy się na członkach rządu i na członkach kierownictwa partii.

Każdy, kogo partia nasza wysuwa na określony posterunek, na określone stanowisko, musi ponosić odpowiedzialność za swą pracę w ustalonym zakresie.

Dobre pod względem politycznym i fachowym kadry — to niezmiernie cenny kapitał partii i naszego ludowego państwa. Kadry takie nie rodzą się na kamieniu. Trzeba je troskliwie wychowywać nieraz przez długie lata".

* * *

Program realizują ludzie. Muszą być świadomi wagi swego działania, muszą znać jego cel i wiedzieć, jakimi dysponują środkami. Wiedzy tej dostarczył w zasadniczym wymiarze V Zjazd PZPR. Jak ją spożytkujemy — to zależy już od naszych umiejętności, od tego w jaki sposób potrafimy ocenić własne możliwości, skoncentrować siły dla osiągnięcia zamierzonych celów. Zjazd dostarczył aż nadto materiału do przemyśleń. Wytyczył kierunki działania na 4 wcale niełatwe lata.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

ANDRZEJ MAKOWIECKI

MUZEUM CZYNU ZBROJNEGO

1

W polskich filmach z okresu drugiej wojny światowej mężczyźni chodzą w modnych, jednorzędowych garniturkach i nylonowych koszulach, kobiety są fikuśnie uczesane i tylko patrzeć, jak wystąpią na frontowy plan w mini spódniczkach i maxi płaszczach. Wiadomo: ubiór nie jest sprawą najważniejszą. Filmowcy proponują, abyśmy przystali w tym zakresie na pewną konwencję. Zastanawiam się jednak, ilekroć jestem w kinie, czy to konwencja mody cofnęła się do czasów wojny z Hitlerem, czy też wojna z Hitlerem zawitała konwencjonalnie w polskim atelier. Licho człowieka bierze, kiedy patrzy na stroje polskich łączniczek, wychodzących z okopów krokiem modelek z Telimeny. Jeśli chcesz się przekonać, jak naprawdę wyglądały dziewczyny czasu hitlerowskiej pożogi, jeśli chcesz doznać trochę mocnych, niekłamanych wzruszeń, to zamiast do kina, wybierz się do Varszawy, i po załatwieniu swoich, niewątpliwie ważnych interesów, złóż wizytę w Muzeum Wojska Polskiego.

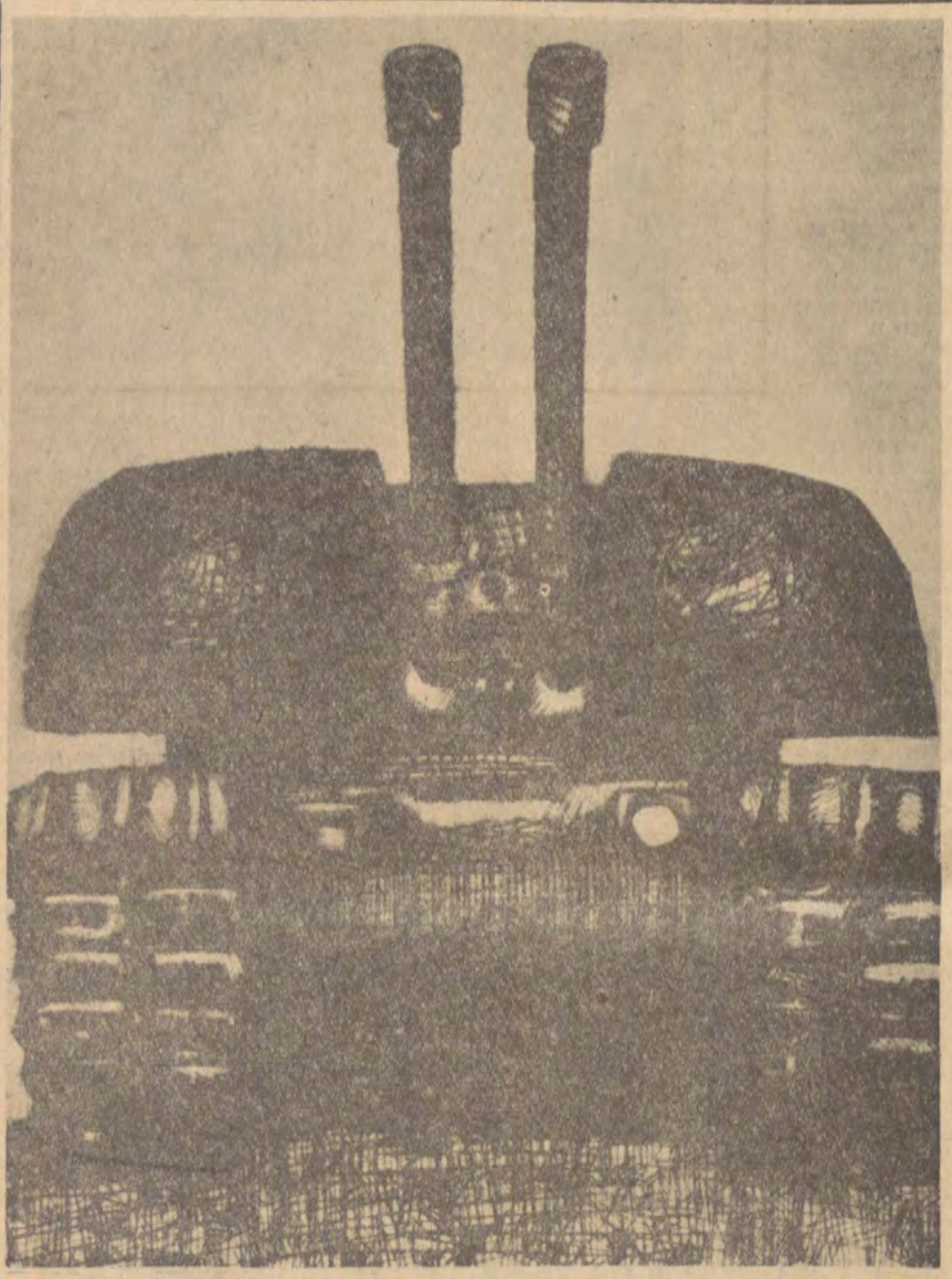

Mieczysław Majewski: W razie agresji.

2

Głowę dam, że nie wszyscy wiedzą, gdzie to jest. Wysiadasz na Centralnym, idziesz w dół, w stronę Wisły Alejami. Za Nowym Światem zaczyna się kompleks zabudowań Muzeum Narodowego i ostatnia, trzecia, złączona z tym Muzeum podkowa należy do Muzeum Wojska Polskiego, którego eksponaty też są niewątpliwie pokaźną częścią ogólnonarodowego dorobku w dziejach naszej historii i kultury.

Przygoda zaczyna się już na dziedzińcu, wielkim, pochylonym z lekka ku Wiśle. Czołgi i armaty, polskie i zdobyczne, sprzymierzone z nami i wrogie, a każda, jak dobry żołnierz, ma swoją historię:

Su — 85, działo pancerne z 13 Pułku Artylerii. Przemierzyło w szlaku bojowym 4980 kilometrów. Smoleńsk, Żytomierz, Lublin, Praga, Warszawa, Bydgoszcz, Mirosławiec, Czaplinek, Gryfice, Kamień Pomorski, Odra i Łaba, tam gdzie było najgorzej. Zniszczyło: 2 czołgi, 1 ponton, 22 pojazdy mechaniczne i 92 innych środków transportu, 16 moździerzy, 6 dział, 8 armat pancernych i 234 nieprzyjaciół.

Na lufach białą farbą:

Za Lublin!

Za Warszawę!

Za granicę na Odrze i Nysie!

Stare wysłużone w boju samoloty. Jak-9, jeden z najszybszych myśliwców drugiej wojny. Po-2 — bombowiec i Ił-10 — samolot szturmowy. Mokną w jesiennym deszczu, okolone szczelnym szpalerem wycieczek. Mali chłopcy o twarzach napiętych ciekawością dotykają zielonych kadłubów, słuchają z uwagą słów przewodnika.

Kuter sierżanta Rybickiego: poległ w obronie polskich rzek. Prymitywne, wzruszające kształtem miotacze ognia, kanciaste, z gruba ciosane działa, robione gdzieś w konspiracji, po nocach, przez bezimiennych patriotów.

Przypatrz się tej wygiętej, wyślizganej przez dłonie desce. Powie ci więcej, niż dziesięć filmów. Naga, brutalna prawda o dramacie Warszawy. Ta deska, to wyrzutnia, takie chałupnicze V-2, z którego strzelało się do niemieckich czołgów butelkami z benzyną.

3.

Ten gmach zniszczyli Niemcy i został odbudowany w pięćdziesiątym piątym. W tym gmachu jest historia oręża, od czasów prastarych do współczesności, od epoki kamienia i brązu, do ery atomu i napalmu. Nie, nie mam zamiaru opisywać wam po kolei wszystkich sal, z zachowaniem chronologii wydarzeń. Nie mam także zamiaru pisać reportażu, bo wstyd jest pisać reportaż o miejscu, które każdy Polak powinien zobaczyć. Tak jak Oświęcim. Jak Treblinkę.

W tym gmachu każdy może się przejrzeć jak w lustrze na przestrzeni dziejów. W tym gmachu każdy ma tysiąc lat i odczuwa tę szczególną, dojmującą więź z tradycjami.

Rozmawiałem niedawno z człowiekiem, który twierdzi, że pamięć o tragediach wojennych narodu, tych starych, ale także tych ostatnich, blednie, zaciera się z dnia na dzień.

— Paradoks — on powiedział, bo bardzo lubi to słowo — im więcej filmów o wojnie, im więcej książek, tym mniejsze wrażenie; obraz, słowo zdewaluowały się zupełnie...

Ale jaki obraz?

Jakie słowo?

Zobacz, mój miły, chociaż raz kawałek, odprysk niesfałszowanej wolnej od metafory i konwencji historii, zwróć oczy na szczegół, na kamień z bruku wojennej Warszawy, na płytę z domu przeoranego pociskiem...

Może wówczas film, na którym ziewasz, książka, która cię drażni — nabiorą innych, głębszych znaczeń.

4.

Są w zbiorach cuda rusznikarskiego rzemiosła. Taki na przykład sztucer myśliwski, czy pistolet kapiszonowy, wykonany dla Wielkiego Księcia Konstantego przez mistrza Collette'a.

Są także przeżarte rdzą, nabite sztorcem na sękate drzewa kosy, które broniły Warszawy w sierpniu 1794.

Są piękne szable, podarowane przez miasto Warszawę Stanisławowi Augustowi Poniatowskiemu z okazji ustanowienia Konstytucji 3 Maja.

Są także wyklepane na kamieniu bagnety, zadziorne, pokrzywione, bez ozdóbek i wytłoczonych napisów, a przecież broniły kraju z większym uporem, niż ostrza lśniące hartowaną stalą.

Są średniowieczne zbroje, kute w litym żelazie, wytrawione kwasami.

Są także mundury z lichutkiego płótna, szyte w lasach przy blasku lamp naftowych, niezgrabne, wyszarzałe, podziurawione na piersiach kulami.

Jest mundur porucznika AL, który poległ nad Wisłą.

Jest mundur trzynastoletniego kaprala, syna 9 Pułku 2 Brygady Artylerii Haubic, który szedł w szyku bojowym aż do Berlina.

Jest mundur generała Zygmunta Berlinga, dowódcy pierwszej Armii Polskiej.

Jest także mundur łączniczki AK, jakże inny od tych konwencjonalnych, szytych na miarę uniformów, które obnoszą z wdziękiem na filmowym planie nasze sympatyczne aktoreczki.

Są czarne, wyświecone do połysku oficerki hitlerowskiego kapitana.

Są także małe, wykoślawione buciny dziecka, które elegancki, płowowłosy, uśmiechnięty Niemiec poprowadził za rączkę do gazu.

Jest zdjęcie rozstrzeliwanej kobiety z niemowlakiem na ręku.

Jest obraz płonącej Warszawy.

Jest wiele bolesnych, wstrząsających pamiątek z lat wojennego koszmaru.

Ale jest także w ostatniej, zamykającej niejako ten koszmar sali ściana, w której tkwi ćma hitlerowskich sztandarów, swastyki zdarte z domów polskich miast przez bohaterskich żołnierzy.

5.

Ktoś powiedział, że dzisiejsza młodzież odczuwa przesyt tematyką wojenną, że dosyć już mają młodzi ludzie filmów i powieści, w których sławi się bohaterstwo polskiego oręża.

Wynikałoby z tego, że Muzeum Wojska Polskiego świeci pustkami, czasem przewinie się stary wojak szukający wspomnień, nieraz zawita wycieczka z zakładu pracy.

Nic podobnego.

Są, oczywiście, wycieczki z zakładów pracy.

Są żołnierze szukający wspomnień.

Ale najczęstszymi, najliczniejszymi gośćmi na pokrytym armatami dziedzińcu i w gmachu najeżonym bronią, są właśnie młodzi ludzie, dla których czasy ostatniej wojny są mimo wszystko czymś więcej, niż najnowszą historią.

Politechnika znaczy: nauka i przemysł

Dalszy ciąg ze str. 1

dzy wykładami a zajęciami laboratoryjnymi, projektowymi i seminaryjnymi na rzecz zwiększenia tych ostatnich. Ten nowy program wchodzi w bieżącym roku na czwarty rok studiów na Wydziale Włókienniczym i na piąty na pozostałych wydziałach.

Należy też wspomnieć, że dopiero przed rokiem wprowadzony został w życie przez Ministerstwo Oświaty i Szkolnictwa Wyższego nowy regulamin studiów na politechnikach, który przewiduje wiele nowych organizacyjnych pociągnięć. Te fakty miały niewątpliwy wpływ na wyniki letniej sesji egzaminacyjnej.

— Jak Pan Rektor ocenia te wyniki?

— Ogólnie zostały one ocenione jako dobre i osiągnięte dużym wysiłkiem pracy studentów. 92 procent ogółu studentów zaliczyło tę sesję pozytywnie, mimo obostrzonych warunków regulaminowych. Trzeba jednak wyraźnie podkreślić, że najtrudniej było zaliczyć tę sesję studentom drugiego roku na wszystkich wydziałach, co świadczy o pewnym spiętrzeniu programowym na tym roku.

— Czy liczba studentów Politechniki zwiększa się czy zmniejsza?

— Utrzymuje się mniej więcej na tym samym poziomie. Łącznie na uczelni studiuje 9.600 osób, z tego 6.500 na studiach dziennych stacjonarnych. Na pierwszy rok studiów wieczorowych i stacjonarno-zaocznych przyjęliśmy w br. 610 osób. Uruchomiliśmy w Piotrkowie nowy punkt konsultacyjny studiów stacjonarno-zaocznych dla 60 studentów Wydziału Mechanicznego. Duże zainteresowanie studiami zaocznymi w punktach konsultacyjnych naszej Politechniki przejawia się między innymi w tym, że o takie punkty starają się jeszcze dwa ośrodki przemysłowe regionu łódzkiego.

Na studia dzienne przyjęliśmy w tym roku 1.226 osób, w tym po raz pierwszy 150 osób na studia dzienne zawodowo-inżynierskie na Wydziale Włókienniczym. W rezultacie na studia dzienne magisterskie i inżynierskie na tym wydziale przyjęliśmy w tym roku 400 osób. Jest to novum, ponieważ do tej pory na Wydziale Włókienniczym istniały jedynie studia dzienne magisterskie, na które przyjmowaliśmy 250—275 osób. Rozbudowa Wydziału Włókienniczego tłumaczy się tym, że istnieje on tylko na naszej uczelni i na nas spoczywa odpowiedzialność dostarczenia wysoko kwalifikowanej kadry dla zaplecza naukowo-badawczego, a także dla produkcji przemysłu włókienniczego i odzieżowego w całym kraju.

— O ile mi wiadomo, nie jest to jedyny wydział unikalny Politechniki Łódzkiej?

— Drugim jest Wydział Chemii Spożywczej, kształcący kadry dla przemysłu spożywczego: cukrowniczego, krochmalniczego, piwowarsko-słodowniczego, winiarskiego, spirytusowo-drożdżowego i innych, również dla całego kraju. Także szereg specjalności na Wydziale Chemicznym jak technologia celulozy i papieru, technologia garbarstwa, kauczuku, gumy, barwników i chemia radiacyjna, a na Wydziale Mechanicznym: konstrukcja maszyn papierniczych i włókienniczych to również kierunki unikalne, nie prowadzone przez żadną inną politechnikę w kraju.

— Panie Rektorze, Politechnika Łódzka jak żadna inna z łódzkich wyższych uczelni powiązana jest z przemysłem choćby przez fakt, że kształci dla tego przemysłu wysoko kwalifikowanych specjalistów. Czy ich kontakty z zakładami przemysłowymi, fabrykami rozpoczynają się dopiero po ukończeniu studiów?

— Więzi uczelni z przemysłem zawsze były silne, a staramy się zacieśniać je coraz mocniej. Uczelnia stara się podejmować takie kroki organizacyjne, które sprzyjają zamierzeniom strukturalnym i produkcyjnym przemysłu. Oto jeden z przykładów, a mógłbym ich podać znacznie więcej. Rozwój przemysłu elektromaszynowego w Łodzi automatyzacja i sterowanie, regulacja szeregu procesów technologicznych sprawiły, że my pragnąc dopomóc w przyspieszeniu realizacji tych zamierzeń, chcemy stworzyć mocną placówkę naukowo-dydaktyczną, przygotowującą kadry absolwentów z zakresu automatyki i elektroniki przemysłowej.

Nasza uczelnia współpracuje też ściśle z przemysłem na co dzień. Mamy wieloletnie umowy-porozumienia ramowe ustalające zakres i warunki wzajemnej współpracy. W chwili obecnej realizujemy 63 takie porozumienia. Wśród nich zasługują na podkreślenie szczególnie te porozumienia, które zawarte zostały z jednostkami gospodarczymi Łodzi i województwa. Przykładowo: obejmują one zagadnienia

BOGDA MADEJ

Mojej PANI

Do szkoły poszłam już strasznie mądra, tata nauczył mnie czytać i pisać i z pierwszych dni, oprócz strasznego ryku, jaki urządzałam babce, która mnie za rękę musiała ciągnąć pamiętam jeszcze moje kłótnie z wychowawczynią. Bałam jej się, bo miała duże, bardzo duże oczy, które wwiercały się aż do sumienia, ale mimo to za nic w świecie nie chciałam pisać „f" z prostą laseczką, bo tata mnie nauczył takiej z eleganckim zawijasem. Utarczki słowne powtarzały się często, bo co drugą literę umiałam pisać po domowemu, a kiedy moi koledzy sylabizowali krótkie zdanka o Asie, ja demonstracyjnie otwierałam elementarz na końcu i głośno zaczynałam czytać dłuższe teksty.

Moje następne wspomnienie dotyczy już klasy drugiej albo trzeciej i należy je zaliczyć do przeżyć z gatunku mocnych. Gadaliśmy z „Globusem", który teraz dorabia się chyba w Kanadzie, gdy nagle mokra ścierka spadła mi na głowę, a za moment „Globus", któremu Pani rytm do marszu wystukiwała torebką na głowie, został wepchnięty do kąta. Może i nie należy pisać przy święcie o takich sprawach, ale mi przez głowę nie przeszło ani wtedy, ani teraz, że to nie było pedagogiczne. Poskutkowało znakomicie.

Pamiętam jeszcze sporo. Rzepa, rzodkiew, jarzyna, porzeczka, jarzębina, korzeń, korzyść, wierzch — proszę bardzo, w nocy mnie zbudzą i wyrecytuję różne wyjątki na rz, ó i samo h i śmiem twierdzić, że nasza klasa prawie w całości nieźle opanowała dzięki tym recytacjom ortografię.

Mam nawet dla moich szkolnych wspomnień motto — „dziecko polskie może żyć bez machania nóżką". Zdanie to słyszałam bardzo często, bo miałam fatalny zwyczaj wymachiwania nogami. Z dziecka dawno wyrosłam, z fatalnego zwyczaju nie i to była jedyna porażka pedagogiczna mojej wychowawczyni.

Teraz można by umieścić kilka okrągłych zdań, że los płata figle, że jest złośliwy, albo że każdy jest kowalem swego losu i jeszcze trochę innych. Bo rzeczywiście, kilka razy zmieniały mi się wizje mojej przyszłości, ale jest faktem, że o karierze pedagogicznej absolutnie nie myślałam. I zostałam nauczycielką. Pierwszego września szłam do szkoły po raz pierwszy nie jako uczennica. Po głowie snuły mi się wizje kaganka oświaty, fragmenty z „Siłaczki" i „ABC" i ufne twarze dzieci wpatrzonych we mnie. Dzieci rzeczywiście się wpatrywały, ale wcale nie ufnie, raczej podejrzliwie i wyczekująco.

I rychło okazało się, że w dalszym ciągu jestem jeszcze uczennicą. Trzeba się było uczyć wielu rzeczy, o których nam na uczelni nie mówiono. Najłatwiej było przyswoić sobie, kogo nauczyciel musi słuchać. Wszystkich. Nie wiem czy ktoś z Czytelników zastanawiał się, ilu to mamy znakomitych pedagogów, którzy marnują swoje talenty w innych zawodach. Ujawniają się bardzo często, a spotyka się ich wszędzie, jako że dzieci w Polsce mamy sporo. Na wywiadówkach nauczyciel nigdy nie poucza mamy-tkaczki, ani taty-inżyniera jak powinni pracować w swoich zakładach, bo się na tym nie zna. Natomiast często słyszy, że pani od matematyki ma złe metody, że trzeba uczyć inaczej i że w ogóle co to za porządek. Rodzice powołują się na sąsiada, prasę i nawet radio, gdzie pewien łódzki redaktor dość jasno sprecyzował swoje poglądy na szkołę i pedagogów. Nieporozumienie wynikające z oczywistej nieznajomości pracy nauczyciela, który nie z własnego „widzimisię" wymyśla wykonanie kompasu, czy przeczytanie książki o dawno wyczerpanym nakładzie, tylko realizuje program. Jest więc raczej wykonawcą planów i rozkładów, które szufladkują tematy i zagadnienia według odpowiedniej ilości godzin. I biada, jeśli jakiś temat z rozkładem się nie zgadza albo ilość godzin jest większa, wprawdzie rodzice już o tym nie wiedzą, ale szybko wykryją to odpowiednie władze. Więc i ścisłego przestrzegania i realizacji rozkładu materiału trzeba się nauczyć.

A przede wszystkim trzeba przypomnieć sobie cztery podstawowe działania arytmetyczne i obliczanie procentów, oczywiście dotyczy to polonistów, bo jest to konieczne przy prowadzeniu dziennika, sporządzaniu sprawozdań i arkuszy klasyfikacyjnych. Jest to praca urzędniczo-buchalteryjna wymagająca czasu, cierpliwości i czytelnego charakteru pisma. Urzędnik-wychowawca musi mieć dużo czasu, gdy trzeba ganiać za kolegami, którzy zapominają wpisywać tematy lekcyjne, a także sporo zdolności dyplomatycznych, szczególnie pod koniec okresu, kiedy walczy o jak najmniej dwój w swojej klasie.

Trzeba nauczyć się jeszcze być głuchym na przeszło studecybelowe wrzaski na przerwach, być uprzejmym dla rodziców, którzy przychodzą z pretensjami i mieć cierpliwość niezmierzoną jak morze. Trzeba nauczyć się nowoczesnych metod nauczania i stosowania środków audio-wizualnych, bo tego się od nowoczesnego nauczyciela wymaga. Uczniowie szybko się do tej nowoczesności przystosowują i uważają, że „Pana Tadeusza" nie potrzeba czytać, bo jest w szkole na płytach, a „Krzyżaków" można omówić na podstawie filmu. Dużo jeszcze musi się nauczyciel nauczyć, dużo cnót musi sobie przyswoić. A że w większości są to ludzie skromni, przeto nawet się do swego zawodu czasem nie przyznają. I to jest chyba najbardziej smutne. Jaka jest dzisiaj ranga społeczna zawodu, który ma tak piękne tradycje i który powinien być otoczony powszechnym szacunkiem i wdzięcznością, bo przecież wszyscy byliśmy uczniami?

Dzień Nauczyciela obchodzimy uroczyście, jak wszystkie święta, z kwiatkiem i laurką, bo tak trzeba i wypada. Ale większa jest satysfakcja dla nauczyciela, gdy uczniowie, a także i rodzice podziękują mu czasem w zwyczajny dzień tygodnia. Bez kwiatów, ale za to prosto i od serca, bo i tak też trzeba.

Często przechodzę obok starej szkoły, w której się kiedyś uczyłam, znacznie częściej niż obok tej, w której byłam nauczycielką. Częściej wspominam te lata, gdy byłam uczennicą i gdy rozmawiając z „Globusem" na lekcji nie wiedziałam jakie jest nauczycielskie zmęczenie i zniechęcenie, niż te, kiedy sama je poznałam.

Czasem widzę z dala moją wychowawczynię. Pewnie już przestała uczyć, chociaż wiem, że długo nie mogła się zdecydować na porzucenie szkoły. Niewiele się zmieniła, dla mnie zawsze jest Panią z dużymi, wiercącymi sumienie oczyma. Oczywiście, że już dawno przestałam się jej bać. Za to zrozumiałam ją, przyczyny jej gniewu i niezadowolenia, zmęczenia i uśmiechu. I widząc, jak idzie do naszej starej szkoły, w myślach przepraszam ją, że stało się to tak późno.

---

z zakresu konstrukcji obrabiarek, maszyn włókienniczych, urządzeń do przędzenia pneumatycznego i wiele innych.

Znaczne korzyści z tej współpracy odnoszą i nasze katedry, mające możność korzystania z dokumentacji technicznej, bibliografii, wymiany informacji, prowadzenia badań i pomiarów w laboratoriach zakładowych, a także z cennej aparatury naukowo-badawczej, jaką dysponuje przemysł.

Przedmiotem wieloletniej dyskusji na naszej uczelni są dwa podstawowe zagadnienia: dostosowanie organizacji uczelni do jak najlepszego kompleksowego prowadzenia badań naukowych oraz dostarczenie przemysłowi coraz większej pomocy w rozwiązywaniu aktualnych i perspektywicznych zadań. Jednocześnie chodzi nam o utrzymanie tych wszystkich elementów pracy i organizacji, które okazały się dobre i które są wynikiem sześćsetletniej historii szkolnictwa wyższego w Polsce.

Najczęściej w tej dyskusji wysuwaną koncepcją jest tworzenie instytutów naukowo-dydaktycznych wydziałowych i uczelnianych, które powstaną — przynajmniej w fazie początkowej — z połączenia katedr, których praca naukowa i dydaktyczna może być uznana za wzajemnie uzupełniającą się. Pozwoli to na stworzenie w instytutach większych zespołów pracowników, którzy będą mogli podjąć kompleksową tematykę badawczą, opracowywaną bardziej wszechstronnie naukowo i lepiej przygotowaną do ewentualnego wdrożenia do produkcji przemysłowej. To spowoduje koncentrację badań, zmniejszenie liczby tematów, ale jednocześnie szersze i bardziej gruntowne opracowanie każdego z nich.

Na Politechnice działają już: Instytut Chemii Radiacyjnej, Zakład Polimerów PAN i Ministerstwa Oświaty i Szkolnictwa Wyższego, a przed kilkoma tygodniami powołano do życia Instytut Przemysłu Papierniczego. W niedalekiej przyszłości powoływane będą dalsze instytuty. Wydaje mi się, że najszybciej powstaną one na wydziałach typu chemicznego i na Wydziale Włókienniczym. W dalszej kolejności (w ciągu najbliższego roku) podejmą próbę nowej organizacji wydziały: Elektryczny, Mechaniczny i Budownictwa Lądowego.

— Realizacja tych zadań będzie zapewne wymagała zwiększenia i rozbudowy bazy materialnej Politechniki?

— Dla sprostania nowym zadaniom naukowym i wychowawczym uczelnia musi ulec dalszej poważnej rozbudowie zarówno w dziedzinie pomieszczeń dla celów naukowo-dydaktycznych, jak i socjalno-bytowych. W planach opracowywanych na lata 1971—1975 przewidujemy konieczność wzniesienia gmachów naukowo-dydaktycznych o kubaturze około 350 tys. metrów sześc. i budynków socjalno-bytowych o kubaturze około 100 tys. metrów sześc. Są to zamierzenia śmiałe, ale konieczne. Trzeba będzie wielkiego zespołowego wysiłku, by je urzeczywistnić. Jestem jednak przekonany, że dzięki zrozumieniu z jakim się zawsze spotykamy u władz partyjnych i administracyjnych miasta, a także u Ministerstwa Oświaty i Szkolnictwa Wyższego, uda się nam te zamierzenia zrealizować. Muszę dodać, że te perspektywy powodują duże zaangażowanie kadry pracowników uczelni i na ich wysiłek możemy śmiało liczyć.

— Sądzę, że zapał ten udziela się i młodzieży?

— Muszę stwierdzić, że obserwujemy znaczne ożywienie działalności uczelnianych organizacji młodzieżowych ZMS i ZSP. Wiele imprez inicjowanych i organizowanych przez młodzież budzi jak najlepsze nadzieje na wyniki pracy wychowawczej. Chciałbym tu wspomnieć o pięknej imprezie zorganizowanej przez politechniczny ZMS z okazji 25-lecia Ludowego Wojska Polskiego. W tym dniu studenci PŁ — żołnierze Studium Wojskowego wystąpili w mundurach, a po uroczystym raporcie, w obecności gości z KŁ PZPR, ZBoWiD i licznej rzeszy studentów-cywilów odbył się przy palącym się zniczu, w blasku kolorowych reflektorów, Apel Poległych, zakończony salwą honorową. Było to piękne przeżycie dla wszystkich uczestników tej uroczystości.

Podobne imprezy i wspólne uroczystości urządzane przez obie organizacje młodzieżowe (50-lecie odzyskania niepodległości, 51 rocznica Rewolucji Październikowej, itd.) powodują, że młodzież politechniczna jest bezpośrednio i głęboko zaangażowana w wydarzenia, które przeżywa cały kraj. V Zjazd PZPR był okazją do żywych dyskusji prowadzonych w gronie studentów.

Nasuwa mi się myśl, że my jako kadra naukowa, wspólnie z organizacjami młodzieżowymi, powinniśmy, mniej może odczytowo i werbalnie a bardziej wizualnie i bezpośrednio, ukazywać piękny i wielki dorobek naszego kraju w różnych dziedzinach życia, gospodarczego, kulturalnego itd. Efekty pracy wychowawczej byłyby wówczas na pewno większe od dotychczasowych.

— Dziękujemy Panu Rektorowi za rozmowę.

Rozmawiała:

TERESA WOJCIECHOWSKA

EWA OSTROWSKA

Medaliony

Patrzę z niepokojem na Anię: czoło podparte w dłoniach, oczy wbite w jakiś niewidoczny punkt na ścianie, zmarszczka przecinająca czoło – oho! zaraz mnie ugodzi, wystrzeli swoim pytającym: mamooo?, muszę się mieć na baczności przed jej pytaniami. Ta poza, którą dobrze znam, świadczy, że dziś pytaniom nie będzie końca, że Ania wpada w swój tak bardzo niebezpieczny dla mojego autorytetu nastrój filozoficzny; spoglądam na nią chytrze, kątem oka, udaję, że nie widzę jej przygotowań, nie pytam się: no i? – a powinnam się tak zapytać, ona czeka na to, ale nie chce mi się, dziś mi się w ogóle niczego nie chce; żałuję, że mam dom, dzieci, męża, bolą mnie plecy, ręce; odwaliłam wczoraj potężne pranie i mdli mnie na samą myśl, że muszę odwalić potężne prasowanie. W takich dniach jak dzisiejszy, Stach obchodzi mnie na palcach, potrafię być niesprawiedliwa, ale człowiek zmęczony ma prawo być niesprawiedliwy, zwłaszcza, jeżeli jest zmęczony pracą, od której mdli, za miesiąc znowu będę prała i prasowała i tak od lat, w kółko macieju jedno i to samo. Stach mówi: Nie masz żadnej twórczej pasji. – Czyż twórczą pasją może być pranie, od którego bolą plecy i ręce? Albo prasowanie, które jest tak nudną czynnością, że aż skręca w „dołku" od tego monotonnego machania żelazkiem?

— Lekcje odrobiłaś? — chcę rozproszyć jej nastrój, stos bielizny posegregowany na stole, żelazko gorące, nie mam dziś czasu na filozofię.

— Odrobiłam.

— To dobrze. — Nabieram wody w usta, pluję na koszule, nie ze złości, ale dlatego, że wyschły zbyt mocno i że je przekrochmaliłam; nigdy nie nauczę się krochmalić męskich koszul, a Stach jest upartym tradycjonalistą – nosi tylko popelinowe, twierdzi, że od non-ironów dostaje wysypki.

— Miałam napisać wypracowanie: Kim chcę być w przyszłości... Mamo, ja nie wiem, kim chcę być.

— A skąd ja mogę wiedzieć, kim chcesz być? Może lekarzem?

— Eee, nie lubię patrzeć na krew. I w ogóle nie rozumiesz! Kimś tam sobie na pewno będę. Chodzę do szkoły, potem do liceum, potem uniwersytet, bo politechnika na pewno nie, nic mnie tak nie nudzi, jak matma. Dlatego na matmie zawsze się lenię.

— Nie ma się co śmiać, to smutne, ty barania głowo.

— Jeżeli ja barania głowa, to ty kto jesteś?

— Anka!

Prasuję zaciekle, spryskuję suche miejsca, już zaczyna być mi gorąco od żelazka, wysychać w ustach, patologicznie wprost nienawidzę prasowania.

— Mamo, przestań na chwilę pluć na koszule taty i posłuchaj. Ja nie wiem, kim będę.

Przypominam sobie w tym momencie kazania moralno-etyczne mojej dalekiej krewnej, która zabrała mnie do siebie na wychowanie po śmierci ojca. Jego śmierć była prosta: nie wrócił pewnego dnia do domu. Nie wiem, co się z nim stało. To znaczy: nie wiem, jak umarł. A moja ciotka miała lekki garb, uróżowane policzki i kochała pajace w atłasowych, spiczastych kapturach z pomponikami, pajace siedziały w jej domu wszędzie, na fotelach, kanapach, łóżkach, kredensach, nie wolno ich było dotykać. Moja ciotka powtarzała przy każdej okazji: Moim obowiązkiem jest cię wychować na uczciwego człowieka. Ugryzłam się w język, nie wiadomo dlaczego chciałam nagle Ani odpowiedzieć: Powinnaś być uczciwym człowiekiem.

— Napisałam w wypracowaniu, że mój ojciec jest inżynierem, buduje jakieś cudowne maszyny. Miałam, wiesz, trudności z tobą, nie wiedziałam, jak mam o tobie napisać, napisałam więc, że zajmujesz się domem, a i napisałam, że mamy piękne mieszkanie, pralkę, lodówkę, telewizor, że będziemy mieć auto, fajnie byłoby mieć auto, ale to nie to. Ja tak nie chcę.

Nic nie rozumiem z jej wywodów. A jeśli comiesięczne pranie i prasowanie zrównało mnie z poziomem mojej nieboszczki ciotki, to może zamiast wychowywać dzieci powinnam sobie uszyć parę pajaców?

— ...Wy liczycie i liczycie. Tata właściwie nie, on tylko przynosi pieniądze, a ty je ciągle liczysz. Tyle macie, a tyle jeszcze potrzeba. Tyle brakuje do auta, przydałby się nowy dywan, elektryczna trzepaczka do dywanów i tak ciągle.

Okazuje się, że wypłukałam dwie szklanki wody na jedną koszulę, jest tak mokra, że muszę na nowo ją wysuszyć. Patrzcie ją – jak to sobie wszystko osądziła, posegregowała! No i podsłuchuje. Nie dalej, jak wczoraj wieczorem rozmawiałam ze Stachem, że chyba kupię elektryczną trzepaczkę do dywanów, ciężko mi je trzepać na podwórzu.

— Wstrętna jesteś, wiesz? Też wymyśliła!

— Ale składaliście dwanaście tysięcy na telewizor, a teraz składacie na auto.

— A telewizji nie oglądasz?! Odpędzić ciebie nie można, i powtarzasz ciągle, jęczysz: oh, kiedy będziemy mieli auto, dlaczego nie mamy jeszcze, inni mają, a my? moglibyśmy jeździć co niedziela na wieś.

— No... tak...

— Więc nie krytykuj rodziców, bo nie rozumiesz. Poza tym, naszym życiowym celem nie jest auto, ani telewizor, ani nowy dywan, ty ośla pało! Ojciec jest cenionym wynalazcą, powinnaś być dumna ze swego ojca.

— Ale gdybyś nie składała na auto, nie musiałabyś tyle pracować, mogłabyć oddawać bieliznę do prania, zamiast sama prać.

Stach też kiedyś powiedział: Czemu pierzesz? Mało ci pieniędzy, żeby zapłacić? Ja go zapytałam: Czemu nie chcesz nosić koszul nylonowych? Bo ich nie lubisz. A ja nie lubię, żeby mi ktoś prał. Nikt mi tak nie wypierze, jak ja sama. Bielizna musi być biała, pachnąca... — machnął ręką i wyszedł z łazienki, zostawiając mnie sam na sam z moją bielizną.

— Jesteś głupia i niesprawiedliwa — powiedziałam ze złością — i w dodatku niewdzięczna. Ciągle tylko: mamo, kup mi, mamo, kup mi, a nie rozumiesz, że na pieniądze trzeba zapracować.

Moja wzniosła uwaga nie wypadła przekonywająco. Ania popatrzyła na mnie ironicznie. Zezłościłam się jeszcze bardziej, poczułam, że się czerwienię ze złości. Nie, naprawdę po dużym praniu nie potrafię rozmawiać nawet z osobą, która liczy sobie zaledwie dwanaście lat.

— Właśnie bym chciała, żeby nie trzeba... żyć tylko... To po co się żyje?

— Idiotka. Ona myśli, że dla pieniędzy. Żyje się... żyje się dla dzieci. Dla ludzi. Dla rodziny. Dla... — poplątało mi się, pewno od gorąca bijącego z żelazka. I co ja chciałam powiedzieć? Coś o miłości macierzyńskiej, o patriotyzmie, humanitaryzmie... Moja ciotka straszy mnie zza grobu. Doprawdy, powinnam tylko dodać: żyje się po to, aby być uczciwym człowiekiem, uczciwość jest najwyższą cnotą, każdy człowiek powinien sam znaleźć szlachetny cel swego życia – fragmenty tamtych przemówień cioci; pochylam się nad żelazkiem, jestem zdolna tylko do prasowania.

— A ty zaraz, że jestem głupia. Temat głupi, więc ci po prostu opowiadam. Kim chcę być? Jakbym wierzyła w bajki, wiedziałabym, że chcę być wróżką albo czarownicą, taką jak Samanta z tego amerykańskiego filmu w telewizji. Fajnie miała. A pamiętasz jej ciotkę Klarę, która kradła klamki i nie umiała się „skoncentrować", żeby przejść przez ścianę? Zawsze nabijała sobie guza, o matko, ta ciotka Klara to była strasznie śmieszna czarownica! Kiedyś, jak byłam mała, chciałam robić różne cuda, ale dla siebie, zrobić sobie nagle długie loki albo tabliczkę czekolady, pamiętam...

Już nie słuchałam, zobaczyłam, że przypaliłam kołnierzyk przy koszuli.

— Skończyłaś? Jeśli łaskawie skończyłaś, może teraz łaskawie pozwolisz mi zająć się prasowaniem? Zobacz, przez twoje czary przypaliłam koszulę. Byłabym ci wdzięczna, gdybyś swoją czarnoksięską mocą ją odprzypaliła.

— Naprawdę, mamo, wstydziłabyś się. Moja wina, że nastawiłaś żelazko na len, zamiast na elanę? Gdybym była wróżką, kazałabym koszulom, żeby się same prasowały.

Plotła coś jeszcze, już nie słuchałam, zajęta wywabianiem przypalonej żółtości. Nowa koszula, kupiłam ją zaledwie miesiąc temu i tak zniszczona. Może ją włożyć do mleka, mleko wywabia plamy? Albo w chlorek, chlorek bieli, tylko czy elana wytrzyma w chlorku?

— Mamo, ale ty wcale nie słuchasz!

— Słucham, słucham, opowiedzieć ci, co mówiłaś? Dobry pomysł. Jak posłuchasz sama, o czym gędzisz, może w przyszłości będziesz trochę mniej mówiła. Mleko czy chlorek? Może najpierw w mleko, a jak mleko nie pomoże, to dopiero chlorkiem?

— Mamo, co tobie? Chora jesteś? — udała, że się zaniepokoiła, ale ja tak często potrafię... mówić do siebie, radząc się na głos w sprawach gospodarskich.

— Coś ty wczoraj czytała wieczorem — powiedziałam, żeby zmienić temat. Rzucałaś się w nocy, jęczałaś przez sen, wypraszam sobie jakieś książszczydła, po których nie możesz normalnie spać.

— Wczoraj? Aaaa... czytałam... „Medaliony".

Nie zrozumiałam.

— Jakie medaliony?

— „Medaliony" — książkę. Czy...

„Medaliony"! Ona czytała „Medaliony"! Wczoraj, a dziś się mnie pyta, kim będzie? Jaka jest wysoka! Ma teraz pewno jakieś metr pięćdziesiąt trzy, wysoka, jasna, odżywiam ją jak mogę najlepiej, musi przyjmować trzy razy dziennie witaminy, w zimie karmię ją tranem, chociaż go nienawidzi, ale ja chcę, żeby była wysoka, jasna, więc odżywiam jak mogę najlepiej, kocham jak umiem najlepiej, marzę o jej przyszłości, która matka nie marzy o przyszłości swego dziecka? która? Ile razy w chwilach, kiedy zmęczona pracą, z obolałymi rękami i obolałymi plecami siadam nagle zrezygnowana, wzdychając, że mam dość tego wszystkiego, tego swojego życia, tego kołowrotka i wtedy przychodzą mi na myśl moje dzieci: Ania, Krzyś – i uśmiecham się do swoich myśli: Ania, Krzyś – jak dobrze, jak ładnie się chowają! jak rosną! moje dzieci, moja radość – tak wszystkie matki myślą, tym żyją, i zrywam się do następnej pracy, bo to przecież dla nich, żeby miały jak najlepiej, żeby rosły wysokie, jasne, chciałabym, żeby moje dzieci były najpiękniejsze, najmądrzejsze, najwspanialsze, czasem roję: Ania będzie... Ania może będzie pisarką? tyle czyta, taka wrażliwa, i już widzę – znakomitą, poważaną, a ponieważ w marzeniach matczynych wszystko się zdarza, wszystko jest możliwe, więc daję jej nagrodę państwową, i taką, taka, nagrodę Nobla... tu trzeźwieję, wybucham śmiechem, ach, poniosło mnie, a gdy mnie ktoś usłyszy, jak się śmieję ni z tego ni z owego, pyta: Co ci?, nic, jestem szczęśliwa, mam dzieci, to są chwile mego najbardziej intymnego szczęścia. Ale czasem przecina je pytanie: a jeśli? – i już nie mam pewności, już zaczyna się lęk – a jeśli? – rząd ludzi pod murem powraca do mnie zbyt często, abym mogła wyzbyć się lęku i tego pytania. A jeśli? — wyziera z nagłówków gazet, suchych informacji. Wojna jest wszędzie, wojna trwa. Nie chciałam mieć drugiego dziecka, broniłam się przed nim uparcie, bo nie byłam pewna losu pierwszego. Tyle razy myślałam, zaraz, po takim: jak to dobrze, że mam ciebie – po co cię urodziłam, na co skazałam? Stach mówi: „to jest obsesja", może, ale na całym świecie żyją dzieci i matki, miłość wszystkich matek jest podobna do siebie i rozpacz taka sama. Czytam nagle w gazecie, choć nie chcę wcale tego czytać ani wiedzieć – pod bombami zginęło dwadzieścia dzieci w wietnamskiej szkole, widzę te dzieci poszarpane, spalone, a jeśli? – Przestań! Przestań! Natychmiast! – krzyknęłam histerycznie: do siebie? do Ani? do kogo?

— Mamo?

— Przestań!

— Przecież ja nic nie mówię...

Karmię ją witaminami, dbam o nią. Ona jest prawdziwa, żyje. Tamte dzieci też żyły, te wietnamskie i tamte z „Medalionów", tamte z „Medalionów" to moi rówieśnicy, moja matka mnie też poiła sokami, w sokach są witaminy, mówiła, od witamin się rośnie, a potem osłaniała mi głowę, oczy, abym nie patrzyła, abym nie widziała; starała się dać mi wiarę, więc powinnam, powinnam tak samo, ale teraz nie mogę, moja matka stała się błękitną plamą, nie potrafię się jej zaprzeć.

— Mamusiu. Co tobie?

Muszę zrobić porządek w bibliotece, zamknąć na klucz wszystkie książki o wojnie, albo je wyrzucę, tak, wyrzucę, spalę, jak kiedyś, po śmierci matki spaliłam swoje zabawki, płonęły pluszowe misie, lalki, ogień kurczył ich twarze, wrzucałam je po kolei w otwarty piec i patrzyłam, jak umierają.

— Ach, Aniu – mówię tylko, ocieram spocone czoło, chowam dygocące dłonie pod fartuchem.

— Zdenerwowałaś się. Ale czym? Co się stało? – patrzy z niepokojem w oczy, głaszcze.

— Nic. Tak coś... tak coś mi się pomyślało. Ale nic ważnego. Czekaj, muszę tę koszulę ojca namoczyć w mleku, może puści przypalenizna.

Moczę w mleku koszulę, składam prasowanie. Już na dziś dosyć prasowania, nie będę prasować, chyba wezmę kropli na serce, bo moje serce kołacze, boli.

— Mamo...

— Słucham?

— Mamo... Ile miałaś lat, gdy skończyła się wojna?

— Lat?

— No tak, ile miałaś?

— Prawie tyle, co ty. Trochę więcej — liczę uważnie krople.

— Serce cię boli?

— Aha.

— Powinnaś się położyć.

— Aha. Powinnam.

— Byłaś mała?

— Kiedy?

— No, jak się skończyła wojna.

— Ach, wtedy! Byłam mała. Teraz też jestem niska, nie urosłam.

— Tatuś mówi na ciebie: kropeczka.

— Już rzadko, niestety, tak mówi do mnie. A mój ojciec często śmiał się ze mnie i z matki: jesteście kucyki, mówił, księżniczki z saskiej porcelany, mogę was obie schować do jednej kieszeni. Takie wygodne, małe laleczki. Jak idziecie ulicą, muszę was stale pilnować, abyście się nie zgubiły... Chciałam razem ze słowami przypomnieć twarz ojca: Muszę was stale pilnować, abyście się nie zgubiły... – nie pamiętam twarzy ani jego, ani twarzy mojej matki, ona stała się dla mnie błękitną plamą, on rozpaczliwym czekaniem u okna, ulicą, którą powinien był do mnie wrócić, a nie wrócił, domami, które powinien był minąć, a nie minął, czasem, w który czekałam na jego powrót stojąc u okna, wypatrując go na ulicy i między domami. Muszę was stale pilnować, abyście się nie zgubiły, powtórzyłam jeszcze raz jego słowa, przymknęłam oczy, trzeba ukryć łzy.

— Aniu?

Objęła mnie.

— Jak to dobrze, że ciebie nie wzięli do gazu!

---

* Z powieści „Ptaki na niebie", która ukaże się w Wydawnictwie Łódzkim.

NAUCZYCIELE – POECI

HALINA SOBCZAK — JARMOŁOWSKA

o ptakach jesienią

z wiatru i z deszczu
ptaki się rodzą
krzykiem w gronach winnych

powietrze jest im posłuszne
kiedy kołują żółknąc w przelocie
potem opadną miękkim sonetem
ciche do nowego przebudzenia

MICHAŁ DALECKI

Portret dziewczyny z warkoczem

Jak jej wyjaśnić, że wodór w zmowie z tlenem
To życiodajny płyn i skarb pustyni —
Gdy rozbiegana po zielonych ścieżkach
W sobie nie może odnaleźć reguły?
Gdy rosnąc cała w kolory i dreszcze
Odkrywa nowe, wymyślne rozkosze
Długich spacerów w kasztanowym lesie.

Warkocz potulny, rekwizyt dziewczęcia
Zwodzi najgłębsze uczonych wywody.
Gładzi go miękko, sama w swojej krasie
Zapamiętała i pyszna zarazem.

Więc kiedy idzie zwiewna przez ogrody
Jak jej wyjaśnić, że to tylko wiosna?
I że to żywe, co tłucze się w głębi,
To tylko zwykłe przyspieszenie tętna?

O nowoczesnej powieści

ROZMOWA Z BERNARDEM SZTAJNERTEM

Fot. E. Kudaj

ODGŁOSY: — **Należy Pan do tej grupy pisarzy, których utwory zwykło się zwać nowoczesnymi. A jak Pan sam rozumie termin — powieść nowoczesna?**

B. SZTAJNERT: — Współczesna powieść zastanawia się nad konstrukcją losu, nad szansą człowieka naszej epoki w pełnym napięć świecie. Skomplikowany czas, w którym żyjemy, epoka pełna wstrząsów i zarazem nadziei, spraw wielkich i spraw groźnych implikuje formę powieści. Sprawy penetracji losów współczesnego człowieka i jego przeznaczeń trudno umieścić w kanonach dziewiętnastowiecznej powieści ufundowanej przez Balzaka, czy u nas przez Prusa. Człowiek przestał być dla nas istotą prostą, jednoznaczną. Widzimy komplikacje nie tylko w społeczeństwie, ale w obrębie jednostki, w świecie jej psychiki. Stąd i powieść o nowych bohaterach rezerwuje sobie inną formę, w której nowy jest tylko układ kompozycyjny całego dzieła, bowiem wszystkie składniki formalno-estetyczne powieści nowej można już znaleźć w XIX w. Pamiętajmy, że obok Balzaka mamy twórczość Dostojewskiego, bądź na początku tego stulecia — obok Joyce'a pisał Tomasz Mann. Nie zrywa więc nowa powieść z historycznymi tradycjami kulturalnymi, ale w swoich najwyższych osiągnięciach, w sposób świadomy i śmiały wykorzystuje je, tworząc z elementów znanych nowe, często odważne i zaskakujące układy. Bada to, co w życiu jednostki jest przypadkowe, sumuje refleksje, dlaczego pewne zespoły zdarzeń tworza architekturę ludzkiego losu, zaś inne nie.

ODGŁOSY: **Często, zamiast powieść nowoczesna mówi się antypowieść. Czy zgadza się Pan z tym terminem?**

B. SZTAJNERT: Termin antypowieść jest zdecydowanie bałamutny, więcej, szkodliwy w sensie społecznym, ponieważ dla wielu czytelników jest czymś w rodzaju straszaka. Wydaje mi się, że jego rodowodu należy szukać w snobistycznych naśladowaniach pewnych terminów z fizyki współczesnej.

ODGŁOSY: **Jak ocenia Pan powieści nowoczesne autorów zagranicznych i naszą rodzimą twórczość?**

B. SZTAJNERT: Tutaj Panią rozczaruję. Nie mam dostatecznej wiedzy i kwalifikacji, aby na to pytanie odpowiedzieć. Trzeba by dokład nie śledzić wszystkie nowości, a na to nie pozwala mi czas. Czytam mało powieści, a jeżeli już, to interesuje mnie przede wszystkim twórczość autorów łódzkich. Wydaje mi się, że nie zawsze wiemy, co rzeczywiście posiadamy, myślę tu o pisarzach, którzy często mają bardzo trudną drogę do Czytelnika. Konkretnym przykładem na poparcie tego, co powiedziałem, może być postać Ryszarda Klimczaka, który wydał dopiero jedną książkę „Czas — karabin".

ODGŁOSY: **Krytycy mówią o Pańskiej ostatniej książce — „Księdze zdarzeń", że powstała w nowoczesnym, dwudziestowiecznym laboratorium prozy. Czy Pan się z tym zgadza?**

B. SZTAJNERT: Do opinii krytyków odnoszę się w zasadzie z pokorą, ponieważ zazwyczaj są to ludzie bardziej niż ja literacko wykształceni. To, o co Pani pytała — to sprawy nie bezpośredniej pracy w laboratorium, ale pewnej wrażliwości, która pozwala chłonąć estetykę i wyczuwać kształty narzędzi, którymi się pracuje w owych nowoczesnych laboratoriach.

Pisanie nie jest dla mnie procesem wyłącznie intelektualnym, jest procesem biologicznym, angażującym także inne warstwy psychiki piszącego, jak wrażliwość uczuciowa, czy wyobraźnia. Więc to, co jest obok świadomości, a nie ponad czy pod nią.

A uwagi krytyków pilnie śledzę, nawet wtedy, gdy poszczególne opinie pozostają ze sobą w jaskrawej sprzeczności. Mianowicie moją książkę „Księga zdarzeń" Michał Spru siński z wielu powodów chwaląc, jednocześnie w swojej kulturalnej i przychylnej recenzji, nieco ganił za brak realizmu. W tym samym czasie, inny wytrawny znawca prozy Jan Koprowski, po przeczytaniu tej samej książki określił mnie jako pisarza realistę.

ODGŁOSY: **Utarło się już, że powieść nowoczesna wiąże się ściśle z biografią autora. Jak to jest w Pańskim wypadku?**

B. SZTAJNERT: Sądzę, że najbardziej ścisły ten związek był w moich pierwszych powieściach — „Narodziny Brunona Bundera" i „Ulicy Wilczej". Później nauczyłem się kreować sytuacje i postacie. Wtedy związek pomiedzy danymi retrospekcji i sytuacjami powieściowymi stał się luźniejszy.

ODGŁOSY: — **Mówi się często o czytelnikach „staroświeckich", hołdujących powieściom tradycyjnym, i „nowoczesnych". Czy Pana zdaniem podział ten jest słuszny?**

B. SZTAJNERT: — Moje doświadczenia z kontaktów bezpośrednich z czytelnikami, podczas spotkań autorskich składają się z szeregu zaskakujących niespodzianek. Bardzo często, tak zwani ludzie prości rozumieją i czytają „książki trudne". Wydaje mi się że często nie doceniamy współczesnego czytelnika. Jesteśmy skłonni do pomniejszania jego wrażliwości, cierpliwości czytelniczej, a także jego wiedzy.

ODGŁOSY: **A co Pan czyta?**

B. SZTAJNERT: — Przyznam się, że mam uporczywą skłonność do wielokrotnego czytania nielicznych, tych samych książek. Moja lektura to „Biesy" Dostojewskiego. „Moby Dick" — Melville'a, „Lalka" B. Prusa, którą jestem skłonny postawić na czele prozy polskiej i jeszcze kilkanaście książek. Interesują mnie dokumenty historyczne z okresu ostatniej wojny, a także dzieła filozofów.

ODGŁOSY: — **To wracanie do książek ma swoje powody?**

B. SZTAJNERT: — Oczywiście. Pozwala niejednokrotnie odkryć zaskakujące związki i pokrewieństwa, przebiegające przez kulturę między arcydziełami rozmaitych epok. Istnieje z całą pewnością wpływ Hermana... Melville'a na nową powieść, tak jak istnieje wpływ Dostojewskiego na twórczość pisarza pozornie tak odległego jak Tomasz Mann.

ODGŁOSY: — **Mówił Pan tu o książkach trudnych. Kiedy możemy tak nazwać książkę?**

B. SZTAJNERT: — Trzeba być bardzo ostrożnym z wartościowaniem na łatwość i trudność. Stale musimy bowiem pamiętać nie tylko o ambicjach autorskich, ale także o ambicjach czytelnika.

ODGŁOSY: — **W przypadku tego typu książek specyficzna jest rola krytyki.**

B. SZTAJNERT: Tak. Krytyka powinna przede wszystkim rzetelnie informować czytelników o cechach problemowych i estetycznych powieści, a także dopomagać autorom do refleksji nad własną twórczością, do rozwoju samowiedzy twórczej, zwłaszcza autorom eruptywnym, spontanicznym, którzy nie są skłonni do organizowania sobie warsztatu w sposób ściśle intelektualny. Krytyk powinien być wysoce wykształconym i kulturalnym pomocnikiem czytelnika i autora.

ODGŁOSY: — **Proszę jeszcze powiedzieć, jakie są Pana plany pisarskie na przyszłość?**

B. SZTAJNERT: — Bardzo bym chciał napisać powieść współczesną, prawdziwą, humanitarną powieść, która dopomogłaby ludziom. Powieść pokrzepiającą. Może nazwę ją „Księga przyjaciół". Próbowałem już kilka razy ją pisać i nie byłem zadowolony. Myślę, że niedługo zacznę to pisać na nowo. Może nareszcie wyjdzie.

ODGŁOSY: **Serdecznie Panu tego życzymy. I dziękujemy za interesującą rozmowę.**

ROZMAWIAŁA: B. M.

ROBERT GLUTH

ZAWIEDZIONE nadzieje Mexico 68

Prawdopodobnie tego dnia padał deszcz na Okęciu, gdy grupa sportowców wysiadała z samolotu linii „Lot". Pracownicy fabryk, biur i ministerstw doskonale się tej nocy wyspali — telewizja niczego nie transmitowała o godzinie drugiej w nocy. Oto powracali do ojczyzny „ludzie, którzy zawiedli", ludzie spod kreski, bohaterzy późniejszych felietonów o niespełnionych nadziejach — olimpijczycy.

1.

Kilka dni wcześniej — nie wyspany jak wszyscy — wybrałem się do kina.

Jesteśmy raczej narodem powolnym. Nie lubimy szybko chodzić, wieczemy się po ulicach spacerowym krokiem. Wystarczy popatrzeć na Marszałkowską. Ale wtedy w kinie, słyszałem brawa w ciemnościach, brawa szczere, młode, zupełnie niezorganizowane i w pewnym sensie przecież irracjonalne. To w strumieniach deszczu — cholernego deszczu subtropikalnego Irena Kirszenstein z wdziękiem sarenki przyjęła na siebie obowiązek królowej podium, kiedy dwie zagapione kobiety bały się tego deszczu, starały się z niego wyjść jak najszybciej ze swoim złotym i srebrnym medalem, gdy roztargnione nie spostrzegły dłoni ciepłej, właśnie do nich serdecznie uśmiechniętej. (Czy dłoń może być uśmiechnięta?).

Nie istniał na tej sali nikt, w niebywałej ciemności, którą stwarza tylko kino — no, nie istniał nikt obojętny. Tam padał deszcz, wielki deszcz meksykański, tam nie grano hymnu polskiego. Odległość przestała być niedotykalna: Irena Kirszenstein była bardzo blisko tej widowni. I ta brzydka dziewczyna była piękna.

2.

Zawsze się zastanawiałem nad jednym problemem: człowiek trenuje, trenuje, całe życie poświęca temu trenowaniu, nikt tego nie widzi, nikt się tym nie interesuje na skalę narodową, a potem człowiek skacze trzy razy i cały naród szaleje. To jest coś niezwykłego. Tak myślałem przez długie lata obserwując od Olimpiady w Londynie prawdziwe metamorfozy radiowych kibiców, panów z brzuszkami, gości, którym nigdy do głowy nie przyszło przebiec 20 m — przedziwne olimpijskie metamorfozy sportowych niedołęgów, ludzi skazanych na hemoroidy.

Zawsze myślałem: skoczyć trzy razy, stać się numerem gry liczbowej ludzi skazanych na hemoroidy — to czysty nonsens. I dopiero tragedia, ból, autentyczny ból całą historię wyjaśnił, usprawiedliwił, uzasadnił przeciwko tym ludziom i w ich interesie i w imię ich straconej młodości.

Skok Szmidta nie był wcale skokiem sportowca, który stanowi ideał, bożyszcze tłumu. To był skok intelektualisty, polityka, inżyniera — tragiczny, ryzykancki, nie obliczony na sukces i nie liczący się ze skutkiem. Bolesny, laurowy, rzeczywisty skok olimpijczyka.

3.

I to samo Badeński. I. Kirszenstein — czwarty raz — ze zgubioną pałeczką... I inni, ambitni, nieustępliwi, dzicy w swoim zapamiętaniu, wspaniale kulturalni, koleżeńscy, mocni na mecie, na podium, poza podium, na miejscach punktowanych i niepunktowanych. Olimpiada jest ostatnim przejawem woli, siły i pragnień jednostki. Kto przepadł, ten się nie liczy.

4.

Celowo nie piszę o zwycięzcach, bo i od nich wprawdzie wymagano więcej, ale znaleźli się w tej szczęśliwej sytuacji, że mogą się wykupić w żarłocznych i zmęczonych oczach złotym medalem.

Dlatego ani słowa o Irenie na 200 m, ani słowa o Baszanowskim, ani słowa o Kuleju.

Ale jest jedno zdanie, które trzeba przypomnieć, wbić w głowy tych wszystkich, którzy piszą, mówią i myślą o zawiedzionych nadziejach: zdanie o Feliksie Stammie — autorze zwycięstw małych i wielkich, przegranych małych i wielkich, współtwórcy życia mistrzów, gwiazd, triumfów i rozpaczy. Ten człowiek, który po Meksyku odejdzie na emeryturę, musi mieć w pamięci ludzkiej najwyższe miejsce na podium, przynajmniej w naszej szerokości geograficznej. Podobnie jak Irena Kirszenstein za 100-metrówkę w Ciudad Mexico — w ulewnym deszczu, gdy nie była pierwsza. Gdy była uśmiechnięta.

5.

W starożytnej Grecji, przed powrotem zwycięzców olimpijskich malowano na murach miast zielone pasy — znak, że miasto murów nie potrzebuje, jeśli ma takich obrońców. Wymalujcie, zmęczeni ludzie — zmęczeni od telewizorów raz na cztery lata — wymalujcie zielone pasy na murach Warszawy dla Szmidta za szalony ból, dla Kirszenstein za uśmiech w deszczu, dla Stamma za życie od Londynu do Meksyku.

I nie czekajcie wciąż na złote medale.

PÓŁKA z książkami

KALENDARIUM WALK GL I AL

Dziedzina najnowszej historii Polski wzbogaca się ostatnio o coraz to nowe pozycje. Właśnie ukazało się na półkach księgarskich Kalendarium walk GL i AL na Ziemi Łódzkiej. Autorami są dwaj pracownicy Muzeum Ruchu Rewolucyjnego w Łodzi: Tadeusz Czapliński i Stanisław Mierzejewski.

Kalendarium to jest bodajże pierwszą i jedyną na razie tego typu publikacją, jaka ukazała się po wojnie w Polsce. Rzecz opracowana jest bardzo rzetelnie, z dużym pietyzmem dla prawdy historycznej oraz dla ludzi biorących udział w walce z hitlerowskim okupantem. Syntetyczne dzieje walk PPR, GL i AL czekają jeszcze na swoich historyków. W tej sytuacji każda publikacja na ten temat ma duże znaczenie.

Ziemia Łódzka, o czym młode pokolenie prawie nie wie, a i starsze też nie zawsze zdaje sobie z tego sprawę, była terenem potężnych zmagań klasy robotniczej, ludu polskiego z najeźdźcą. Kalendarium ukazuje tę walkę w sposób usystematyzowany, uzmysławiając jednocześnie jej zasięg, rolę i rangę.

Książka ta powinna się znaleźć w bibiliotece każdego działacza i publicysty, a w pierwszym rzędzie w ręku nauczycieli współczesnej historii Polski. Literatura piękna oddała wielki dramatyzm walki naszego narodu z okupantem, literatura historyczna oddaje rozmiar i ogrom tej walki. Dopiero w połączeniu uzyskujemy pełny obraz tamtych dni.

K. B.

DRUGI TOM MAJSKIEGO

Iwan Majski — radziecki dyplomata, ambasador ZSRR w Londynie, w latach poprzedzających II wojnę światową — człowiek, który tkwił w samym centrum wielkiej polityki. Ta wizytówka wystarczy, aby wspomnienia Iwana Majskiego były dziś bestsellerem. Drugi tom jego wspomnień, obejmujący lata 1932—1939, odsłania kulisy europejskiej dyplomacji tego okresu, daje naukową analizę układu sił i stosunków w Europie. A trzeba wiedzieć, że Majski to także historyk, członek Akademii Nauk ZSRR i jego książki to coś więcej niż pamiętniki — to także wnikliwe, analityczne dzieła traktujące o najnowszej historii Europy.

A działo się w tych latach wiele. Do władzy doszedł Hitler, rozgorzała rewolucja i wojna domowa w Hiszpanii, spaliły na panewce próby montowania w Europie antyhitlerowskiego frontu, wreszcie — co nas Polaków interesuje najbardziej — doszło do tragicznego dla nas września 1939.

Na kartach ponad 600-stronicowego dzieła Iwana Majskiego znajdujemy konglomerat problemów i ludzi — Lloyda Georga i Churchilla, aneksję Czechosłowacji i kryzys Komitetu Nieinterwencji, Chamberlaina i księcia Bismarcka — słowem całą skomplikowaną maszynerię wielkiej polityki, jej kulisy i ludzi-animatorów tej maszynerii. Książka jest pasjonująca, przynosi zresztą i te drobne, pozornie mało ważne informacje z rejonów dyplomatycznej obyczajowości i anegdoty, mówi o sprawach wielkich i o sprawach codziennych. Nie może zatem dziwić fakt, że jest bestsellerem.

J. W.

Iwan Majski „Wspomnienia ambasadora radzieckiego", Książka i Wiedza, 1968.

GDAŃSK W LATACH 1945—46

Skromnie zatytułowała swoją książkę Mirosława Walicka — „Próba wspomnień". Ale to nie próba — to rzetelna, udokumentowana kronika pierwszych lat władzy ludowej w polskim Gdańsku. Kronika uzupełniona wyimkami z ówczesnej prasy, ilustrowana dziesiątkami fotografii... a przede wszystkim nasycona taką ilością faktów, danych statystycznych, nazwisk, że stawia książkę Walickiej w rzędzie wydawnictw raczej encyklopedycznych. Jest to bowiem swego rodzaju encyklopedia wiedzy o dwu pierwszych latach polskiego Gdańska. Ale autorka jest wytrawną i doświadczoną dziennikarką, więc „Próbę wspomnień" czyta się z zainteresowaniem, nie nużą nawet niezliczone dane statystyczne i setki nazwisk notowanych z sumiennością kronikarza.

Jest więc książka Walickiej pierwszej próby dokumentem swego czasu — nie pominięto tu chyba ani jednej sprawy istotnej dla Gdańska tamtych lat. Znajdziemy więc i problem exodusu gdańskich Niemców i organizacje służby zdrowia, sylwetki pierwszych, pionierskich działaczy partyjnych i administracyjnych. Sprawy budownictwa (a raczej odbudowy) i sprawy organizacji (pierwszych w Polsce) Domów Dziecka. Słowem książka Walickiej jest dokumentem — skrupulatnym i rzetelnym. Szkoda może, że zbyt mało tu osobistych wspomnień autorki, która przecież z Gdańskiem związała się już w pierwszych dniach wyzwolenia i mieszka tam do dziś. Książce przydałaby się też jakaś autorska konfrontacja tamtych lat z dniem dzisiejszym Gdańska.

J. W.

Mirosława Walicka „Próba wspomnień", Wyd. Morskie — 1968.

Z bliższych i dalszych stron

Na przykład Rzeszów

Zwierzałem się już przed kilku laty na tych łamach ze swych impresji z miasta nad Wisłokiem. Ta pierwsza wizyta sprawiła mi rzetelną radość, pisałem o niej pogodnie; po części za przyczyną letniej aury wszystko wydało mi się poprawne i ładne. Tym razem sprawdzałem wcześniejsze wrażenia o innej porze roku, zrazu o przedpołudniowej godzinie, mglistej i chłodnej, po całonocnym telepaniu się bezpośrednio-osobowym (Łódź Kaliska — 23.58). Nie wiem, jak dla kogo, lecz dla mnie pierwsze godziny i pierwsze spotkania w obcym mieście są z reguły rozstrzygające, nikt i nic nie potrafi zaćmić mi olśnienia początku, nic i nikt nie poprawi też złego powitania. Jeśli w dodatku czeka na ciebie stary przyjaciel, marznąc setnie w letnim paltocie przez wiele kwadransów, skłonny darować bógwieco. Nie byłoby doprawdy co przebaczać. Sam przejazd taksówką nagradza pociągowe znoje: cicho, schludnie i przytulnie. Coś z dużego ośrodka, tętniącego wielkomiejsko, ale jakby schowanego po trosze, przyczajonego w sobie, aby nie zmęczyć, by pozwolić spokojnie rozejrzeć się wokoło. Sunąć po gładkiej polewie jezdni myślałem, że dziś, jeszcze niezupełnie dotlenieni cywilizacją, już niebawem będziemy wzdychać za taką jak tu intymnością mniejszych skupisk. Rzeszowianie, i słusznie, zachłystują się perspektywą dalszego rozwoju, ten postęp dostrzega także przelotny obserwator: miasto pnie się w górę serią imponujących punktowców, wyłania się jego pełniejsza wizja i z nowych dzielnic, rozsiadłych po jego obrzeżu. Taki jak ja przybysz, wpadły na moment, nie ogarnia całości, może jedynie to i owo zobaczyć, a przecież penetrując jakiś fragment, chwyta zasady nadrzędnego planu. Zaprowadzono mnie np. na ul. Słowackiego, w jednym z bloków mieszkalnych usytuowano Klub Międzynarodowej Prasy i Książki. Istne cudo, wypieszczone wewnątrz przez architekta, wedle mojego rozeznania — najpiękniejszy egzemplarz w kraju. I to wzniecił mój niekłamany podziw, i zaopatrzenie w takie przedmioty artystyczne (reprodukcje, albumy, zestawy kart), jakich nie udało mi się dotąd nigdzie obejrzeć. Czy to jedynie rezultat zapobiegliwości handlowej? Tuż obok Klubu — sklep muzyczny, pięć kroków dalej wypożyczalnia biblioteczna, naprzeciwko funduje się za kilkadziesiąt milionów zł. gmach filharmonii, wreszcie na tyłach tego placu budowy — średnia szkoła muzyczna przy ul. Chopina (Szopena, jak głosi tabliczka). Oto dowód logiki rozbudowy.

Gdzie indziej też myślą i zabiegają o utrwalenie swej pracy. Wstyd mi, gdyż nie umiem powiedzieć, od jak dawna działa Rzeszowskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk, dla mnie wystarczy, że nie egzystuje tylko w rejestrach, co dokumentuje np. wydana z pietyzmem praca poświęcona pamięci Wilhelma Macha, syna Rzeszowszczyzny (wydana wspólnie z Wyższą Szkołą Pedagogiczną). Westchnąć w tym miejscu należy: czy zdobyliśmy się na taki gest wobec naszych odeszłych twórców, różnych profesji a znacznych rang? Rzeczone Towarzystwo wydawało przez dwa lata „Kwartalnik Rzeszowski", od 1 stycznia br. przejęła ten periodyk RSW „Prasa"; nazywa się obecnie „Profile". I znowu, rozpamiętując ciężki i ospały żywot „Osnowy", łza się w oku kreci, jako że nie może dobić się, sierotka łódzka, łask tegoż mecenasa, a ukazanie się kolejnego numeru nieporównanie trudniej jest przewidzieć niż zaćmienie słońca. Cóż gadać jeszcze? Ze tutejsze pióra nie gorzej od tamtych machają, że — bez przechwałek — w równej przynajmniej cenie i ocenie być powinny?! Nie jestem taki pewien, czy zorganizowano by u nas oddział ZLP, co stało się w Rzeszowie, gdyby było nas poniżej dziesiątki. Prawdopodobnie tak, lecz pewności, jak się rzekło, nie mam.

A wieczorem do teatru. Teatr tutejszy nosi czcigodne imię Wandy Siemaszkowej. Nie chcę przez to powiedzieć, iż patron do czegoś podniosłego zobowiązuje; znamy doprawdy sceny pod najszczytniejszymi zawołaniami, które kompromitują jeno znakomitych nieboszczyków. Jak zawsze, jak wszędzie, ludzie, nie symbole, decydują. Idąc tytułami sztuk, duktem repertuaru, czyż można coś kompetentnego napisać? Jedynie o intencjach i zamysłach. Jeśli jednak teatr interesuje społeczeństwo, a ilość powtórzeń sztuki jest pokaźna i to przy przyzwoitym odsetku pojemności sali, to wówczas powiadamy, iż taki program zdaje egzamin praktyczny, trafia w upodobania szerszej publiczności. Dopytywałem skwapliwie, jakie grupy społeczne oglądają stale i wytrwale spektakle. Przede wszystkim młodzież szkolna (ok. 40 proc.), jakiś procent przypada na młodzież akademicką (jest tu Wyższa Szkoła Pedagogiczna i Inżynierska). Reszta to dorośli, w tym mała, lecz zaprzysiężona grupa inteligencji. Swoje powodzenie buduje zatem teatr na młodzieży, co w rzeczy samej napawa optymizmem: ci najdłużej chodzić będą do teatru. Część zasług na tym polu przypada niewątpliwie p. J. Guzowskiej, entuzjastce sztuki teatralnej, która prowadząc w teatrze taką komórkę propagandową, utrwala związki młodzieży ze sceną.

Gorzej jest, jak mi opowiadano, z potencjalnymi odbiorcami z zakładów pracy, w tym z wielkich przedsiębiorstw, które nie szczędząc grosza na akcje kulturalne, znaczną jednakże część swych środków puszczają innymi kanałami, m. in. obficie dotując własny ruch amatorski. Okazuje się, a problem ten jest powszechniejszy, iż szlachetne rozbudzanie pasji teatralnej przez czynne uprawianie tej sztuki, jakoś ogranicza oddziaływanie autentycznego teatru.

Brak miejsca, by podać pełny zestaw sztuk, pokazanych za trzyletniej kadencji dyrektora Stanisława Bielińskiego; stosowana zasada eklektyzmu przy wyborze nie narusza ambicji artystycznych, jednym słowem: nie znalazłem utworu, który by zawstydzał kierownika artystycznego, literackiego i — aktora.

Trafiłem na przedstawienie — czterdzieste bodaj — „Kariery Artura Ui". Wydać się może nietaktem, jeśli wyznam, iż Brecht mnie nuży, natrętny jest i zbyt łopatologiczny, chociaż trudno nie schylić czoła przed szlachetną moralistyką, jak niemożliwe jest wręcz zlekceważyć czy odrzucić mądrość rekapitulacji, płynących z jego przypowieści. Dla pokolenia, które zna z autopsji treść paraboli o gangsterze Ui i jego kompanach, dzieje kalafiorowego trustu mogą już zabrzmieć naiwnie, lecz wsłuchując się w rytm chropawych jambów, ogarnia nas zgroza, odwijanie anegdoty staje się lekcją ostrzegawczą z niedawnej historii. Pewnie dlatego nie sposób grać tej sztuki inaczej, próby uogólnienia np. w kierunku transpozycji traktatu o despotyzmie w ogóle, pozbawiłyby ją wiadomych odniesień, które są jej genezą i motywacją. Toteż pękają pod tym ciśnieniem ramy konwencji widowiska — niby grupa artystów „odgrywa" przed publiką ową historię gangsterską — odpada pretekst fabularny, mamy rzecz samą w sobie, skondensowaną do surowego morału. Mimo przejrzystości aluzji, trzeba, jak sądzę, unikać nazbyt dosadnych w prezentacji, upodobnień, co zabezpiecza i przed niepotrzebnym demonizmem. Kusi tym zwłaszcza rola prowadząca, tak ją też przeważnie grano. Rzeszowski Ui (p. J. Jachowicz) świadomy od początku prototypu swej roli, nie zaciemniając analogii, mnożył je jednakże stopniowo i dyskretnie, dopiero w ostatniej scenie wybuchając furioso. Szczupły, smukły, w jasnym ubraniu, bez oznak szczególnych w masce i ruchach, z charakterystycznym jedynie zaczesaniem, zjawia się jako dżentelmen, człowiek nienagannych manier, skupiony i zaprzątnięty interesem, dość wprawdzie brudnawym, lecz nie zapowiadającym jeszcze zbrodni. Tę „niewinność" gangstera, czysto, precyzyjnie wyrażoną przez aktora, reżyser (St. Bieliński) skontrastował ostro z postawą jego otoczenia, które roi się od indywiduów rozmaitej maści, agentów, szpiclów, zwyrodnialców. Ten klimat narastającej przemocy, ubezwładnia jednostki w imię jednomyślności, spektakl wypowiedział przejmująco, aż nazbyt może dosłownie, co sprawiła niechybnie sama materia tej sztuki: zalecenie grania z dystansem podobnych zdarzeń jest wprost niemożliwe.

J. Jachowicz kolegował z J. Walczakiem w łódzkiej szkole aktorskiej. Krótko przed śmiercią Walczak odwiedził Rzeszów, obaj aktorzy wiele godzin spędzili razem, dyskutując nad tą wielką rolą, próbując ją, sami dla siebie, nocą w teatrze. Każdy z nich odmiennie potraktował tę postać. Słusznie: nie ma jednego Artura Ui!

STANISŁAW KASZYŃSKI

TELEOBIEKTYW

Brycht — Filipski — Ziarnik

Teatr Jednego Aktora staje się w Polsce formą coraz bardziej popularną, a „Raport z Monachium" Andrzeja Brychta w wykonaniu Ryszarda Filipskiego jest jedną z ciekawszych realizacji tego rodzaju na przestrzeni ostatnich miesięcy. Dlatego dobrym pomysłem było przeniesienie tego jednoosobowego spektaklu do studia Telewizji Warszawskiej (13 listopada br.).

„Raport z Monachium" miałem okazję oglądać rok temu w krakowskim Domu Kultury w zabytkowej kamienicy „Pod Baranami". Dlatego szczególnie interesujące było dla mnie skonfrontowanie wrażeń z bezpośrednio odbieranego spektaklu z tymi, które wywołało u mnie obecnie obejrzenie go w formie zreprodukowanej przez telewizję.

Żywy kontakt z aktorem, z jego fizyczną obecnością w trójwymiarowej przestrzeni, to zawsze co innego niż oglądanie go na płaskim kawałku szkła stanowiącego ekran telewizora. Nie znaczy to, że w naturze ogląda się spektakle lepiej. Ogląda się inaczej. Bo choć salka „Pod Baranami" nie jest wielka, to przecież oddzielał mnie od aktora dystans 8—10 metrów, podczas gdy od obrazu telewizyjnego dzieli mnie zaledwie metr — półtora. I to chyba nieścisłe! Gdy duże zbliżenie wypełnia cały ekran, twarz aktora ogromnieje i zbliża się do mnie jakby jeszcze bardziej. Odległość (jeśli w ogóle istnieje) redukuje się do centymetrów.

Ale przerwijmy te ogólnikowe dywagacje i przejdźmy do samego spektaklu! Więc najpierw tekst słowny. Jest on adaptacją, czy raczej wyborem i skrótem cyklu reportaży Brychta z podróży do Niemiec zachodnich. Pisarstwo Brychta jest specyficznej natury. Daleko mu do wszelkiego stylizowania. Język Brychta jest jędrny, uciekający się często do wyrażeń grubych, brutalny.

Nie zamierzam agitować ani za, ani przeciw Brychtowi. Zgadzam się z jego antagonistami, że chwilami denerwuje, gdy w zbyt odkryty sposób dąży do zaostrzania za wszelką cenę spraw, które porusza. Ale trzeba też przyznać, że gdy trafi na „swój" temat, dosiada go jak rączego rumaka. Wpada w trans, atakuje z rzadko spotykaną pasją, błyskając przy tej okazji autentycznym talentem.

Można wiele rzeczy zarzucić pisarstwu Brychta, ale nigdy — że jest nudne, letnie, neutralne. Zaangażowanie w temat wydaje się chwilami go ponosić, udzielać mu prawa do przejaskrawień. Nie oszczędza przy tym własnej osobowości. Rzuca ją na szalę, wywraca na oczach czytelnika na nice, jak zwykliśmy robić z kieszenią, by ukazać całą jej zawartość.

Wielu ludzi pisało u nas o neohitleryzmie przed Brychtem, wskazując na niebezpieczne objawy jego odradzania się w NRF. Ale nikt chyba (przed Brychtem) nie przedstawił tego w sposób tak osobisty, z gwałtownością, z jaką zareagowalibyśmy schwyciwszy złodzieja za rękę, którą sięgał po nasz własny portfel. Dzięki Brychtowi ogólny problem polityczny, a więc w odczuciu jednostki nieco abstrakcyjny, zbliża się, staje się sprawą moją, twoją, każdego z nas z osobna.

I tu właśnie przeskoczyć muszę — bez przygotowania odpowiednim pasażem — z miejsca na interpretację tekstu przez Filipskiego w telewizji. Aktor tę właśnie funkcję tekstu Brychta pogłębił i poszerzył, dodając jej konkretny wymiar swojej fizycznej i psychicznej osobowości. Gdy na zbliżeniach wyrzuca z siebie w sposób świadomie niewygładzony, z pasją lawinę słów piekących, drażniących, kąsających — to nie możemy oprzeć się wrażeniu, że aktor prowadzi rozprawę z hitleryzmem i neohitleryzmem na własny rachunek. To on został nieludzko skrzywdzony, to jemu zrabowano beztroskie dzieciństwo i zamordowano ojca, to jego życiu grożą znów rewizjonistyczne apetyty Bawarów, żłopiących piwo w monachijskiej Hofbräuhalle i traktujących tę czynność jako uczestnictwo w manifestacji narodowej siły.

Refleksje może budzić fakt tego anektowania (przez Brychta i Filipskiego) sprawy istotnej dla wszystkich Polaków na swój „prywatny" użytek. Brycht daje na tę wątpliwość odpowiedź wprost. Nie dziw się, mówi do czytelnika-widza, że piszę tyle o sobie. Ale czy ja to nie znaczy ty?

Brycht znalazł w Filipskim godnego partnera i wspólnika w swym gniewnym rozrachunku. A obaj znaleźli potężnego sprzymierzeńca w telewizji. Sposób percepowania widowiska TV sprzyjał wyraźnie intencji autora i wykonawcy. Telewizję każdy ogląda na własny rachunek, w czterech ścianach swego domu. A więc osobisty charakter wynurzeń Brychta-Filipskiego idealnie pasuje do tej właśnie formy przekazu.

I tu zbliżamy się do trzeciego nazwiska. Do Jerzego Ziarnika, który jako reżyser był współautorem spektaklu obok dwóch pierwszych. Ziarnikowi muszę zarzucić pewną niekonsekwencję. Temperament reżysera filmowego kazał mu przerywać parokrotnie seans z Filipskim wstawkami filmowymi. Najniepotrzebniej. Tej weryfikacji słowa Brychta nie wymagały. Jakże wystarczający kontrapunkt stanowiły w tle akustycznym pieśni niemieckie: butna „Deutschland, Deutschland", rubasznie jowialna „Heili heilo", ckliwie sentymentalna „Stille Nacht". Chciałoby się za Heinem zapytać: „Mein Liebchen was willst du mehr?" Czego chcesz więcej, kochanie? Wstawki filmowe w „Raporcie z Monachium" były tylko zbędną tautologią, nikłym przytakiwaniem słowom tekstu. Jednocześnie przerywały rytm i napięcie widowiska. Na szczęście było ich niedużo.

Władysław Orłowski

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

Jeszcze świeżo w pamięci tkwią nam wydarzenia, które rozegrały się w Palomares w Hiszpanii, a nieco później w Grenlandii, a już możemy oglądać na ekranach film, który do pierwszego z tych zdarzeń nawiązuje, a wyprzedza swym scenariuszowym pomysłem to, co wydarzyło się na lodowej wyspie.

Reżyser filmu „DZIEŃ, W KTÓRYM WYPŁYNĘŁA RYBA" M. Cacoyanis podjął problem, który od dziesiątków lat, jako najstraszliwsza z gróźb, nurtuje opinię społeczną całego naszego globu. Jest to sprawa wojny atomowej i jej skutków, których zwiastunami są owe bomby atomowe „gubione" przez latające nad matką Ziemią samoloty. Nie wymyślił Cacoyanis swej filmowej opowieści, oparł ją na autentycznych faktach, a tylko opatrzył datą 1972 roku i miejsce akcji przeniósł na maleńką skalistą wysepkę grecką Kharos.

Znakomity grecki reżyser podjął się rzeczy bardzo ryzykownej. Traktując swój film jako ostrzeżenie (nawet jego tytuł posiada coś z biblijnej przypowieści), nadał mu formę komedii. Sam zinterpretował jednak swój film słowami, które chyba celnie oddają jego charakter: „Nie jest to ani komedia, ani farsa, ani też tragedia, jest to po prostu realność". Owa realność jest w filmie Cacoyanisa wyważona w sposób niesłychanie precyzyjny. Nie ma w tym filmie fantastyki, nie jest to również film grozy, jest to mimo wszystko komedia, której elementy są tak dobrane, iż stają się przerażającą swą prawdą realnością. Sięgnął Cacoyanis do środków, którymi posługiwali się jego wielcy przodkowie z Arystofanesem na czele, śmiech tego ostatniego nigdy nie był radosny, natomiast zawsze drapieżny, demaskujący wszelkie zło i wszelką obłudę. Taką metodą posłużył się również Cacoyanis w „Dniu, w którym wypłynęła ryba". Pokazuje ciężkie, gnuśne i smutne życie na wysepce Kharos, której krótkotrwały rozkwit przyniesie to, co zdecyduje o jej śmierci. Zrzucony z palącego się samolotu na skalną wysepkę atomowy ładunek ściągnie na nią tych, co będą w największej tajemnicy go poszukiwać, a za nimi całą hordę międzynarodowych turystów, nie wtajemniczonych, a spragnionych nowości. Wydarzenia toczą się z typową dla naszych czasów absurdalną szybkością. Toteż nie zdążymy zżyć się z bohaterami, ich życie obserwujemy fragmentarycznie, nie jesteśmy w stanie dostrzec żadnych głębszych międzyludzkich układów i uczuć. Wszystko co dzieje się na wysepce jest absurdem, który wynika jednak konsekwentnie z tego, co o cywilizacji i obyczajowości współczesnego zachodniego świata wiemy. Nie szokują nas nawet poczęte z fellinowskiego ducha postacie turystów, ich kostiumy i zabawy, toć przecież 1972 rok tuż, tuż. Bohaterowie filmu choć często bardzo sympatyczni, jak choćby owi dwaj piloci biegający w slipach po wyspie i bezradni wobec niemożności zawiadomienia władz o tym co się stało, są w końcu jakimiś postaciami marionetkowymi. Toteż tajemnicą Cacoyanisa — w jednej osobie autora scenariusza, kostiumologa, a wreszcie reżysera — zostanie to, jak zdołał śmiech i absurdalność zamienić w obraz, który przemawia realnością i na pewno jest jednym z wielkich ostrzeżeń stawianych w najprzeróżniejszych formach wypowiedzi dzisiejszej ludzkości. „Dzień, w którym wypłynęła ryba" polecam wszystkim, którzy lubią dobre kino i cenią sobie chwile refleksji.

Znacznie większe kłopoty mieć będę z polecaniem „DWÓCH TYGODNI WE WRZEŚNIU", filmu w reżyserii S. Bourguignona, bo nawet trudno mi go z całą odpowiedzialnością zareklamować wielbicielom wdzięków Brigitte Bardot. Mogę go polecić amatorom melodramatów, ale z góry uprzedzam, że jest to już melodramat „à la nouvelle vage" i do tego dość nudnawy. Mieliśmy niedawno coś podobnego na ekranach. Myślę tu o filmie „Galia", był to jednak nowofalowy melodramat, może nie tyle bardziej budujący serca, co bardziej ciekawy. W „Dwóch tygodniach we wrześniu" znajdujemy jednakże również popłuczyny i po innych, nawet znakomitych filmach. Znajdujemy w tym filmie echa „Galii", ale i pomysły z „Powiększenia" i z filmu „Kobieta i mężczyzna". Poszczególne elementy tego filmu są nawet strawne: piękna fotografia, ładna muzyka, dają jakąś nutę liryzmu filmowi. Interesująca twarz wziętego ostatnimi czasy aktora L. Terzieffa i uroki B. Bardot osładzają chwile, gdy musimy być świadkami ich miłosnej historii.

Jedynie naprawdę ciekawą sprawą w tym filmie jest to, co dzieje się poza jego fabułą. Film ten jest w końcu poświęcony B. B., jest jakimś przyczynkiem do jej kariery, która dla następnych pokoleń będzie na pewno stanowić jakieś interesujące curiosum w historii nie tylko filmu, ale i współczesnej nam obyczajowości. W tym filmie Brigitte Bardot gra o dużą stawkę — prezentując nam siebie pozwala analizować i oceniać wszystkie swe dotychczasowe cechy, zalety i wady (film jest ich swoistą antologią), a jednocześnie cały czas próbuje nas przekonać, że jest już kimś innym: inną kobietą i inną aktorką. Może i jej się to udaje, nie wiem. Dla wielu z nas jednak jej rola w „Dwóch tygodniach we wrześniu" stanie się dowodem, że jej gwiazda nieuchronnie traci swój blask, odchodzi tam, skąd niewielu oszałamiającym karierom filmowym udaje się wrócić.

EWA NURCZYŃSKA

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

Leopold Survage. Fabryki.

LEOPOLD SURVAGE NIE ŻYJE

■ Był z natury cichy i łagodny. Nie zdobył zasłużonego rozgłosu choć jego dorobek artystyczny stanowi poważny wkład

Leopold Survage Hiszpanka.

do historii współczesnego malarstwa.

Leopold Survage zmarł niedawno w wieku lat osiemdziesięciu dziewięciu. Fin z pochodzenia, urodził się w roku 1879 w Moskwie. Po ukończeniu studiów artystycznych, zachwycony podobno twórczością Matisse'a, którego obrazy zobaczył w słynnej kolekcji Szczukina, Leopold Survage wyjeżdża w roku 1890 do Paryża, by dalej kształcić się malarsko. Chcąc zarobić na życie pracuje jako stroiciel fortepianów u Pleyela. Po raz pierwszy wystawia swe płótna w roku 1911 razem z kubistami. Korzystając z doświadczeń kubistów oraz oczarowany twórczością Cézanne'a, Leopold Survage wypracowuje sobie wkrótce własny styl malarski. Na krótko przed śmiercią Survage'a odbyła się w Lyonie wielka retrospektywna wystawa jego dzieł. Znalazły się tu płótna jeszcze z roku 1903 z okresu pobytu Survage'a w Moskwie, następnie pierwsze próby malarskie w Paryżu m. in. autoportret z roku 1910, w którym wyraźnie widać wpływy twórczości Cézanne'a. Pejzaże z roku 1915 stanowią już całkowicie oryginalny, świeży wyraz artysty, który potrafił dać własną malarską syntezę przestrzeni.

Ciekawe były próby Survage'a oddania wrażeń muzycznych za pomocą rytmicznych barwnych plam. Pomysł ten przyszedł mu do głowy w okresie, gdy pracował jako stroiciel fortepianów. Wyobrażał sobie, że da się to zrealizować przez stworzenie barwnego, abstrakcyjnego filmu. W tym celu przygotował nawet 200 barwnych plansz. Nakręcenia podjął się Leon Gaumont, ale prace nad filmem przerwała wojna. W pół wieku potem Walt Disney nakręcił film „Fantazja" oparty na podobnych pomysłach i założeniach.

Survage'a odkrył Apollinaire. To on przygotował widzów do obejrzenia w roku 1911 obrazów nieznanego nikomu malarza. Apollinaire napisał wiele ciepłych słów podkreślając walory malarskie, świeżość i oryginalność twórczości Survage'a.

FABRYKA SIMENONA

■ „Fabrykę Simenona opuszcza w Szwajcarii jego dwóchsetna powieść" — pod takim to, żartobliwym tytułem znajdujemy w tygodniku „Paris-Match" felieton o pracy pisarskiej Georgesa Simenona, słynnego autora powieści kryminalnych, których bohaterem jest komisarz Maigret. Simenon napisał także inne powieści i nawet zdaje się wyżej je ceni od swych „maigretów".

„Ósma godzina, fabryka się budzi" — czytamy w „Paris-Match". „Dwunastu urzędników, 27 aparatów telefonicznych, pięćdziesiąt żółtych ołówków mistrza precyzyjnie zatemperowanych na elektrycznej temperówce — wszystko gotowe do produkcji w wielkim białym budynku, z którego nie dochodzi żaden hałas, nad którym nie unosi się dym. Przechodnie mogą łatwo przypuszczać, że w tym domu znajduje się nowoczesna mleczarnia lub supernowoczesna klinika — duma Szwajcarów". To jednak jest dom Simenona nad Lemanem.

Jeden z wydawców zapowiada, że wkrótce ukaże się dwóchsetna powieść tego pisarza. Czy na pewno tylko dwóchsetna? Simenon wydawał swoje powieści pod dziewiętnastoma pseudonimami. Jego książki zostały wydane w 300 milionach egzemplarzy, w 28 językach. Pod względem wysokości nakładów Simenon wśród powieściopisarzy współczesnych może iść w zawody jedynie z Agatą Christie. Co dwa dni w świecie wychodzi z druku jego książka. Na podstawie tych powieści nakręcono kilkadziesiąt filmów, nadano niezliczoną ilość widowisk telewizyjnych. Pierwszą swą powieść napisał mając lat 16, dziś ma 65. Średnio wypadnie, że rocznie Simenon pisze 4 powieści.

„Fabryka" Simenona rozpoczyna pracę. Pierwszy ołówek pisarskiego dnia.

Spektakle tygodnia

TEATRY

	spektakle	widzów	proc.
WIELKI			
„Kniaź Igor"	1	1260	100
„Zemsta nietoperza"	1	1260	100
„Cosi Fan Tutte"	1	1260	100
„Jezioro łabędzie",	1	1260	100
„Carmen",	1	1260	100
NOWY			
„Pierścień wielkiej damy"	3	1500	70
„Gra miłości i przypadku"	4	2800	100
„Skiz"	1	700	100
„Żeglarz",	1	700	100
NOWY Mała Sala			
„Skiz"	3	600	100
„Gra miłości i przypadku"	3	600	100
JARACZA			
„Przedwiośnie",	1	620	100
w lokalu ROZMAITOŚCI			
„Każdy kocha Opalę"	6	3720	100
7.15			
„Stendhal i S-ka"	5	2025	96
POWSZECHNY			
„Kawior i kaszanka"	4	2400	90
„Radziwiłł, Panie Kochanku"	1	660	100
TZŁ			
Kabaret „Dudek"	2	1089	95
„Kaprysy Marianny"	1	1210	71
„Okoliczność łagodząca"	1	1210	71
OPERETKA			
„Hrabina Marica".	6	6647	99
FILHARMONIA			
2 koncerty symf.		1300 słuch.	90

Notatnik kulturalny

PONIEDZIAŁEK

Odszedł rok temu jesienią. Umierał właśnie jesienią, w porze roku tak często sławionej przez poetów. Poeta Wacław Mrozowski piewca polskiego krajobrazu umierał w zgiełku miasta i na łódzkim cmentarzu jest jego grób. Przeczuwał tę śmierć, nosił ją w sobie długo i tragicznie się z nią miotał. Pisał: „Już jutro świece z wosku zapłoną, wiem, i czekam zgonu, i drżę...". I pisał jeszcze: „Powoli sięgam smutku dna i jak topielec z prądem lecę... Tak ginie oślepiona ćma ciałem swym gasząc płomień świecy..." Ale nie zgasł płomień wierszy Wacława Mrozowskiego. Pamiętamy je i wracamy do nich tak jak na wzruszającym wieczorze w klubie PAX poświęconym pamięci poety. Nad miastem huczała noc i przypominał się wiersz szeptany nerwowo przez Wacława: „Cóż odpowiedzieć nocy czarnej ma czarny człowiek z czarną duszą, czujący czarny chłód cmentarny, którego rzeczywistość kruszy"... Odszedł poeta, pozostały tomiki wierszy, które płoną i płyną przez czas. Które żyją.

WTOREK

Pamiętam czasy (nie takie znów odległe) festiwali i sympozjów poetyckich, literackiej młodzieży, na które jeździło się po kontakty, przyjaźnie i na „nocne rodaków rozmowy". Nie powiem nic nowego, jeśli stwierdzę, że właśnie w środowiskach twórców takie kontakty, wymiana poglądów i wierszy są szczególnie potrzebne. Dlatego dobrze się stało, że Koło Młodych przy łódzkim oddziale Związku Literatów Polskich nawiązało współpracę z podobnym Kołem w Opolu. I wybór miasta też znakomity. Śląsk urzeka nas swą odrębnością, a jednocześnie jest to przecież region bardzo nam bliski, mający podobne Łodzi problemy ludzkie i przemysłowe. Dla młodych pisarzy szansa dogadania się na tej bazie — olbrzymia. Współpraca „młodoliteracka" Łódź — Opole zaczęła się od wzajemnych wizyt. Niech się tylko na tym nie kończy.

ŚRODA

Mam przyjaciela — dziennikarza, który na marginesie swoich normalnych zajęć prowadzi swoisty katalog „kwiatków" z przemówień. Niestety, katalog jest bardzo obfity. Jest w nim i „aktywizacja dołów kobiecych" i „zgniła pokrywka modernizmu" i tym podobne cudeńka. Niestety, mówić to my nie umiemy a poza tym nie wystarczy mówić rzeczy słuszne... Trzeba jeszcze mówić o nich atrakcyjnie a przynajmniej poprawnie. Łódzki Oddział Towarzystwa Wiedzy Powszechnej widząc, że obywatele prelegenci „jąkają się" otworzył „Uniwersytet dla mówców" czyli Studium Młodego Popularyzatora. Słuchaczami będą studenci ostatnich lat, którzy oprócz określonej porcji wiedzy z dziedziny sztuki, techniki i nauki otrzymają także gruntowne wykształcenie „oratorskie". Nie wiem czy wzorem Demostenesa przewidziano ćwiczenia z kamykiem w ustach, ale i bez tego inicjatywa TWP warta jest najszerszej popularyzacji.

CZWARTEK

Pozazdrościliśmy Krakowowi. Ma Teatr im. Słowackiego, słynną kurtynę malowaną przez Siemiradzkiego — będziemy mieli także malowaną kurtynę w Teatrze Wielkim. Tylko czy znajdzie się nowy Siemiradzki? Ano poczekajmy — zobaczymy. Niebawem ogłoszony będzie konkurs na kurtynę — artystów nikt nie ogranicza — może być abstrakcja, może być malarstwo figuratywne. Byle komponowało się z architekturą widowni. Myślę, że proste, oszczędne i nowoczesne wnętrze łódzkiego Teatru Wielkiego zyska na barwnym akcencie plastycznym. Nie wiem, kto jest autorem pomysłu malowanej kurtyny, ale koncept to znakomity. A w ogóle to dobrze, że Melpomena z Teatru Wielkiego darzy tak wielką przyjaźnią sztuki plastyczne, którym niestety żadna Muza nie patronuje. Patronuje im za to Teatr Wielki otwierając tu stałe ekspozycje plastyczne i ogłaszając konkurs na kurtynę.

PIĄTEK

Mało kto wie jak tu trafić. Przechodzi się przez długą sień dawnego Ratusza, potem trzeba pójść w prawo i już za moment stoimy na wąskim małym podwóreczku. Pod wysoką ślepą ścianą stoją oparte brązowe płaskorzeźby profesora Lubelskiego, — płaskorzeźby, o które toczą się boje od lat, dzieło sztuki, które nie może znaleźć dla siebie miejsca w tym mieście. Oglądam stojące pod ścianą płaskorzeźby, oglądam teczkę z dokumentami... Pisma, pisma, korespondencje między Wydziałem Kultury a Ministerstwem. Urzędnicy rozważają czy to dzieło sztuki jest dziełem sztuki, czy należy je przetopić na złom, czy zostawić dla potomności. Na jednej z płyt Bartosz Głowacki — spogląda ze smutkiem i ma pękniętą sukmanę. Decyzją Wydziału Kultury pracownicy pewnej fabryki próbowali płaskorzeźbę rozbić młotami i stopić palnikami acetylenowymi. Znaleźli się jednak — na szczęście — ludzie, którzy do tego nie dopuścili. Czytelnicy dziwią się, że piszemy raz jeszcze o tym? Być może nie ostatni...

SOBOTA

Tej sztuki nie stworzył człowiek, chociaż jako autor figuruje łęczycki lekarz-ortopeda Jerzy Bednarek. Tę sztukę stworzyła natura — powykręcała fantastyczne stwory z korzeni i gałęzi.. Człowiek dokonał tylko wyboru, pozbierał owe korzenioformy, ustawił na podstawkach, nadał im imiona... Ale właśnie w ten sposób zwykły korzeń awansował do rangi sztuki. Właśnie selekcja człowieka-artysty nadała tym kawałkom drewna znamiona artyzmu. Może to nie żadna wielka sztuka — ale jest w tych korzenioformach coś pięknego. Na wystawie Jerzego Bednarka w ŁDK widzi się dużo ludzi. Może fascynuje prostota tych rzeźb stworzonych przez naturę; a może tylko inność i oryginalność?

NIEDZIELA

Ośrodek Badań Prasoznawczych wydał najnowszy (trzydziesty siódmy już) numer „Zeszytów Prasoznawczych". Pasjonujący ten periodyk, redagowany znakomicie, interesuje rzecz prosta głównie ludzi prasy, ale i dla szerszego ogółu znalazłem tu rodzynek na niedzielę. Dyskutuje tu się mianowicie na temat sobotnio-niedzielnych wydań gazet partyjnych. Problem nie jest mały nawet w sensie dosłownym. Co tydzień bowiem te właśnie sobotnio-niedzielne, magazynowe edycje trafiają do kilku, a może nawet kilkunastu milionów czytelników. Nie będę relacjonował dyskusji, bo każdy prawie z uczestników miał inne zdanie na temat założeń i perspektyw rozwoju niedzielnych magazynówek. Dość jednak powiedzieć, że obecnie socjologowie opracowują zebrane już postulaty Czytelników w tej sprawie. I chyba właśnie one będą miały dla dalszych losów niedzielnych magazynów niemałe znaczenie. Gazetę przecież redaguje się dla Czytelników.

JERZY WIDOK

Bez strachu

ZNAJOMI I NIEZNAJOMI

Znajomi to ci wszyscy, których tożsamość przy pierwszym spotkaniu możemy stwierdzić, przypomnieć sobie twarz, nazwisko i ci także, którzy bez pełnej możliwości utożsamienia kogoś nam przypominają — znajomi to ci wszyscy, których gdziekolwiek widzieliśmy na ulicy, w domu gdziekolwiek — wszyscy zobaczeni nawet przelotnie, oglądani w ciągu ułamka sekundy... Mało ważne, że zostali natychmiast zapomniani, w naszym życiu nastąpi chwila, w której potrafimy i zechcemy sobie przypomnieć twarz widzianą przed rokiem przez sekundę i przypomnienie sobie tej twarzy da nam drobną przyjemność, albo niewielki smutek. Absurdalne są zwroty: „Spoglądałam na nieznanego mężczyznę", „Patrzę na nieznaną kobietę". Ten kto jest widziany, jest już znajomy... Znajomi są także ci wszyscy, których daleki gwar dochodzi do wnętrza naszych mieszkań, których odgłosów i postaci domyślamy się patrząc na ich domy... Nigdy nie byłem w Kaliszu, ale kiedy słyszę to i owo o tym mieście i o jego mieszkańcach, stają się oni moimi znajomymi — nie jest to chyba jakieś bezzasadne przypisywanie sobie znajomości tych ludzi — w istocie jesteśmy powiązani wieloma węzłami — jadamy żywność, nosimy ubrania wyprodukowane przez mieszkańców innych miast. Po deformacji kołnierza konfekcyjnego ubrania mogę poznać tę czy inną dyspozycję psychiczną pracownika fabryki odzieży. Po niedbałym wykończeniu buta znam pewne właściwości szewca. Ludzie znani pośrednio przez najdrobniejsze bodaj dzieła i skazy to ludzie znajomi.

Znajomi to także mieszkańcy innych krajów. Oglądam ich czasopisma, ich filmy — myślę o nich — znajomi to wszyscy ludzie, którzy żyją na ziemi. Grono naszych znajomych jest jednak znacznie liczniejsze od grona żyjących na ziemi. Czyżbyśmy bowiem mieli się wyprzeć znajomości ze zmarłymi, z tymi zmarłymi, których pamiętamy, a także ze zmarłymi minionych pokoleń — przecież są obecnie w naszej kulturze i wypieranie się tej znajomości byłoby bezskuteczne i niemoralne. Znajomi nasi zatem to ci wszyscy, którzy żyli kiedykolwiek... Nieznana jest natomiast strefa dalszej przyszłości — mam na myśli ludzi, którzy będą żyli wiele tysięcy lat po naszej śmierci, osobiście skłonny jestem nie przyznawać się do znajomości nawet z tymi, którzy gospodarować będą ziemią za dwa, trzy pokolenia. Znamy wreszcie ludzi wymyślonych, przyśnionych, a nigdy przed snem nie widzianych — ludzi wytworzonych naszymi myślami. Szczególnie liczny krąg takich znajomych mają pisarze, a także inni artyści. Za ich pośrednictwem poznają ich czytelnicy książek — szczególnie polecam znajomych tej ostatniej kategorii — sądzę, że ich poznawanie powinniśmy sobie wzajemnie ułatwiać.

BERNARD SZTAJNERT

KAROL BADZIAK

ŚMIERĆ W SŁOŃCU

Jeden ponad trzy miesiące temu stanął przed Sądem Niebieskim, drugi stanie niebawem przed Sądem Powiatowym w Rawie Mazowieckiej.

— Tak się musiało stać. Innego wyjścia nie było — stwierdzi zdeterminowany zabójca. Nie będzie w tym co powie ani skruchy, ani strachu, ot, zwykła konstatacja.

— Zabili mi najlepszego klienta — oznajmi z melancholią mecenas. Nieraz mu odradzałem zakładanie nowych spraw — doda — ale chłop był uparty, zawzięty.

— Jak Krak smoka, tak Borowiecki skończył Antka — orzeknie z uznaniem sołtys wsi Karolin, gromada Żelechlinek.

— Kierda pożarła Buhaja — powiedzą zgodnie mieszkańcy wioski z widoczną ulgą. I będzie w tym spora doza gorzkiej satysfakcji.

Konflikt między Antkiem Kowalskim i Władkiem Borowieckim trwał trzynaście feralnych lat. Jak to między sąsiadami, o byle co — o kurę, o prosiaka, o dziecko. Wieś patrzyła i sekundowała Borowieckiemu. Był biedniejszy i słabszy, chuchro przy Antku, odżywionym i wypasionym na mordzie.

— Siedem lat byłam u niego za wyrobnicę, jak mój mąż siedział w więzieniu. Kamień nie człowiek. Poniewierał mną jak pomiotłem. Ale trza było, dzieci głodne.

Nienawiść w oczach kobiety gorze. Nienawiść straszna, przecież ten, o którym mowa już od paru miesięcy gryzie ziemię. Ta nienawiść go zabiła, teraz po śmierci go jeszcze ściga. Silna jest nienawiść, która płynie z poniżenia, z upokorzeń, nawet śmierć nie potrafi jej przynieść ulgi.

Wieś na Antka wydała wyrok już dawno. Wykonawcą miał być Borowiecki. Ale przecież tak nie można. Tak nie wolno. Życie może odebrać tylko ten, kto je dał. Panie, co ja mówię, nawet temu nie wolno.

— Pan się patrzy i myśli co mnie z Antkiem łączyło. Tak, kochał się we mnie, ale za młodych lat, to było już tak dawno, teraz jestem stara baba i nie amory mi we łbie. Ale chcę, żeby było sprawiedliwie. Wszyscy się cieszą z jego śmierci i dlatego mnie smutno. Wszyscy zabili, a karę poniesie jeden.

— Pamiętam jak dziś ten ostatni dzień lipca. Rozwieszałam akurat bieliznę, weszłam na chwilę do chałupy, a gdy wyszłam usłyszałam głos dziecka: — Tatusia zabili, tatusia... Wybiegłam do drogi, ale w połowie coś mnie tknęło, stanęłam jak wryta. Nie mogłam kroku dalej postawić. Niebo było piękne, błękitne, bez chmurki, i ta cisza ogromna i pustka. Ani człowieka wokół, ani bydlęcia żadnego na drodze, nawet muchy w powietrzu. Jakby słońce wszystkich w siebie wchłonęło. I krzyk dziecka, krzyk sieroty, rozpaczliwy, paraliżujący krzyk bólu. Naraz ludzie zewsząd zaczęli biec, zrobiło się rojno i gwarno jak na odpuście. Ludzie ciągną do śmierci jak ćmy do światła. Patrzę — leży Antek na ziemi, obok Borowiecki stoi z siekierą, dzieci chmara i groźny tłum, wrzeszczący: „Granatowiec, Buhaj!" Ludzie nie wierzyli, że on nie żyje, myśleli — udaje tylko, zaraz wstanie i dobierze się Borowieckiemu do skóry. Dlaczego granatowiec? Antek służył podczas okupacji w granatowej policji i stąd to przezwisko. Buhajem to ja go jeszcze dzieckiem będąc nazwałam i tak zostało. Potem zresztą trzymał buhaja i to się utrwaliło. Nikt inaczej go na wsi nie nazywał. Na Borowieckiego zaś mówiono Kierda. Tak go Antek przezwał.

Chodzę po wiosce od chałupy do chałupy, słucham, notuję, rozmawiam. W tych rozmowach jest dużo słów i czucia dużo, ale naocznych świadków nie ma, sami komentatorzy. Dla reportera dobrze, dla prokuratora gorzej.

— Tu by trzeba takiej karty jak przez całą wieś — żeby to opisać — powiada żona sołtysa. Nie w każdej wiosce się takie rzeczy zdarzają. Kobiety chętnie wyrzucają z siebie swą otępiałą niechęć do nieboszczyka. Rozpamiętują jego przeszłość, rozsmakowują się w każdym szczególe jego podłości, ekshumują w pamięci wszystkie drobiny jego nikczemności.

Helena Sac przypomina sobie, jak to się Antek zachował, kiedy zimą przyszłą do niego sąsiadka z prośbą o pożyczkę paru kilogramów kartofli. Jej dzieci czekały w domu na obiad. Antek zasiadł za stołem i zaczął żreć kiełbasę. Jadł długo, powoli, żmudnie, memłał i memłał w ustach. Trwało to z godzinę. Kobieta cierpliwie stała w progu.

— Może sąsiadka chce kawałek kiełbasy? — zapytał pod koniec Antek. W domu na pewno takiej nie macie.

— Dziękuję wam sąsiedzie, w domu mam lepszą — odpowiedziała sąsiadka.

Wszyscy wiedzieli i ona, i ja, i Antek, że mówi nieprawdę.

Zmusił ją do tego Antek. Taki był, dlatego ludzie go nienawidzili. Jeden z najbogatszych gospodarzy we wsi, pyszny, butny, lubił się wywyższać ponad innych. Wszyscy mu pamiętają, że własnego ojca wygnał z gospodarki. Stary udał się do miasta Łodzi. Jest tam woźnym w szkole.

Helcia mówi i mówi, wraca jakaś zła, przeklęta cząstka przeszłości w jej gledźbie. Nie jesteśmy sami, zeszło się sporo ludzi, ciekawych, wścibskich, chętnych dołożyć to i owo na temat. Stoją stłoczeni obok tego obcego człowieka, który zainteresował się ich nienawiścią, życzliwie się uśmiecha, cierpliwie słucha.

Każdy pragnie wyłuszczyć swoje pojmowanie sprawiedliwości. No, bo czy to da się pojąć, żeby taki bogacz na 25 morgach gospodarujący mógł przez tyle lat gnębić takiego biedaka Borowieckiego. Wpadł prosiak Władka na podwórko Antka, a Antek pała go w łeb. Martwego przerzuca Borowieckiemu. Prosię przecie głupie, nie upilnujesz. Człowiek powinien być mądrzejszy. Jak się tylko Borowiecki obruszył już go Antek do sądu podaje. Osiemdziesiąt sześć spraw mu wytoczył. Wiadomo, na adwokatów miał, na sąd miał. Ledwie sprzedał krowę lub jałówkę pieniądze przy ludziach dzielił na połowę. Jedną część kładł do lewej kieszeni, drugą do prawej i mówił: — „Z tej lewej to na Rawę, a z tej prawej to na Łódź". Teraz mu ani na Rawę, ani na Warszawę nie potrzeba. Za pieniądze — jak mówią na wsi — sprawę można wygrać. Życia jednak nie kupi. Ale on i spraw nie wygrywał. Skarżył do sądu, adwokata brał, a Borowiecki się tylko bronił, sam się bronił. Antek przysięgał, że go zrujnuje i zruinował. Chałupa Borowieckiego się wali. Ano, zanim bogaty zbiednieje, biedny dawno umrze.

Wieś powoli, z namysłem, żeby nie przeoczyć żadnego szczegółu otwarza w pamięci każdy moment zdarzenia przy którym nikogo nie było. Bójka jest wyładowaniem nienawiści, ale nikt nie wie, w którym momencie nienawiść sięga tej głębi, gdzie czai się śmierć, w którym momencie nienawiść przeradza się w żądzę unicestwienia przeciwnika. Wiadomo tylko, że tego dnia Kowalski wraz z żoną i dziećmi udał się do ogrodu. Borowiecki zaś poszedł kopać fundamenty pod nową oborę. Wziął na tę oborę 80 tysięcy złotych pożyczki z banku. Około jedenastej Kowalski wziął rower i oświadczył żonie, że jedzie do sąsiada. Za chwilę żona usłyszała krzyk z działki Borowieckiego. Sekcja zwłok wykazała trzy obrażenia głowy.

Kiedy na miejsce przyjechała milicja, która wracała akurat od pożaru w sąsiedniej wsi, Kowalski leżał zbroczony w kałuży krwi. Słońce tego dnia prażyło niemiłosiernie, dzieci płakały, z tłumu dobywały się ponure pomruki. Wezwana z Żelechlinka lekarka przyjechała własnym samochodem. Ranny nie dawał znaku życia. Prosiła ludzi, żeby pomogli jej przenieść Antka do samochodu. Nikt się nie ruszył, zbita groma da stała w milczeniu, gotowa w każdej chwili bronić Borowieckiego, gdyby Antek wstał. Nikomu przez myśl nie przeszło, że za kilka godzin ten silny, zdrowy i żywotny człowiek naprawdę umrze.

Nawet milicja, która w pierwszej chwili aresztowała Borowieckiego, puściła go pod wieczór do domu. Kowalski zmarł w nocy, rankiem milicja ponownie aresztowała Borowieckiego.

Pamięć ludzka skrupulatnie przechowuje to wszystko, co się łączy z dreszczem śmierci: krew, ból, cierpienia, wzrok porażony nienawiścią, strach. Tym razem nikt sobie tego nie przypomina. Nawet krwi nikt nie widział. Dosłownie nikt. Jakiś fenomen psychologiczny. W pogrzebie zabitego brała udział cała wieś, lecz nie miał kto trumny wziąć na ramiona, nie miał nawet kto krzyża nieść. Mają rację ci etnografowie, którzy wspominają o tajemniczości ludów.

Uwerturą tej bójki, która się tak tragicznie skończyła dla Kowalskiego, był zatarg majowy. W maju Borowiecki zaczął zwozić materiał na budowę. Kowalski już wtedy zakwestionował prawo Borowieckiego do wznoszenia tego obiektu na tym właśnie placu. Co najciekawsze, obaj na poparcie swych racji przedstawili urzędowe dokumenty. Milicja znalazła się w kropce. Polecono zainteresowanym odwołać się do sądu. Sąd sprawiedliwy, ale nierychliwy. Zbyt długo zwlekał z wydaniem odpowiedniego, miarodajnego orzeczenia.

Odrębny znów rozdział stanowi w tej sprawie działalność Powiatowego Wydziału Architektury, który i jednej i drugiej stronie wydał identyczne dokumenty, a jeśli nawet nie całkiem identyczne, to w każdym bądź razie takie, że jedni i drudzy mają czarne na białym i są właścicielami tej samej ziemi.

Myślę, że dopiero na tym tle stają się bardziej zrozumiałe słowa Borowieckiego wypowiedziane w chwilę po zabójstwie: „Tak się musiało stać, innego wyjścia nie było".

Śmierć jednak niczego nie załatwiła. Zamiast mężów, ich żony teraz jeżdżą do sądów.

Lewym okiem

LENGYEL — MAGYAR

Przegiętej fantastycznie tancerce na ogromnym plakacie dorysowano wąsy, tygrysowi na innym afiszu ktoś dorysował do ogona dzwonek. Małoletni mężczyźni mają widocznie tu, w naddunajskiej stolicy Węgier, takie same zamiłowania jak na całym świecie.

Plakatami oklejone wszystkie wolne miejsca na murach, ścianach, słupach. Ogłaszają się budapeszteńskie domy towarowe, kina, restauracje i nocne kluby, z występami, Cyganami i nawet ze strip-teasem.

Przy stoliku w jednym z takich lokali nawiązuje się rozmowa między nami a parą eleganckich starszych państwa. — Panowie z Niemiec wschodnich czy zachodnich? — pyta starsza pani. — Z Polski? — uśmiecha się od razu inaczej.

Słuchamy wielu komplementów pod adresem naszego narodu. Później pan i pani przeplatają komplementy narzekaniami na własny kraj. — Co tu za buty, proszę panów, w tych naszych węgierskich butach wcale nie można chodzić. Filmy? My nie chodzimy na węgierskie filmy, są bardzo słabe. Cóż tu w Budapeszcie w ogóle można dostać? Te ładne rzeczy z importu to znów strasznie drogie...

Znam kilka pań, które wiedzą dobrze, co można dostać w Budapeszcie i z jakim zyskiem opylić w rodzimych ciuchowniach. We wszystkich bramach budapeszteńskiego śródmieścia wiszą gabloty z towarami, które można kupić w prywatnych kramikach — bo tak trzeba je nazwać — pochowanych w głębokich podwórzach, wysoko na piętrach i głęboko w suterenach. Te najlichsze, najmniejsze, najgłębiej schowane wysepki prywatnej inicjatywki prawie zawsze mają w gablocie odręczną kartkę z takimi na przykład informacjami (po polsku!): „Polacy! Ja mówię po polsku. Sprzedaż balkon ostatnie drzwi". „Bardzo ładne bluzki tu w podwórzu gotowe do sprzedania". „Kuśnierz sprzedaje się za rogiem". „Moderne pulowery damskie pod bramą w prawo". Nawet stragan z kilkoma łańcuszkami w stylu pierwszych wypraw kolonizatorskich zaopatrzony jest w tabliczkę: „Pamiątki do nabycia". Otóż i macie wytyczony tymi tabliczkami i kartkami szlak turystyczny naszych pań. Tam się można potargować, kupić coś z przeceny, przymierzyć stanik i haleczkę, a wszystko w atmosferze „między nami", prywatnie, po znajomości, z większym zrozumieniem niż w wielkich, pięknych, zawalonych towarem magazynach frontowych.

To chyba nieprawda, że mamy zmysł handlowy. Mamy obszyty kompleksami zmysł do handelku, nie do handlu i to do handelku pokątnego, na granicy kantmaszynki i szmuglu. Ale o tym pisano już bardzo wiele, a dziś miało być o czym innym: o niekłamanej, prawdziwej, szczerej i widocznej na każdym kroku przyjaźni ludzi węgierskich z ludźmi polskimi. Nieczęsto się z tym spotykamy, to jest coś wręcz wzruszającego i zobowiązującego. Jakie momenty składają się na taki wzajemny stosunek?

Czy fakt, że przez wiele, wiele stuleci bliskiego sąsiedztwa ani razu w dziejach nie wojowaliśmy poważniej ze sobą, co jest w historii powszechnej nader rzadkim ewenementem? Czy podobna, trudna do psychologicznego uzasadnienia, skłonność do psioczenia na własny kraj, na wszystko we własnym kraju — przy jednoczesnej drapieżnej wrażliwości na jakąkolwiek krytykę ze strony obcych? — „Nie chodzimy na węgierskie filmy. W butach węgierskich nie da się chodzić..." — mówi starsza pani, ale potem z dumą opowie sąsiadkom, że Polska kupuje dużo węgierskich butów, czego właśnie dziś dowiedziała się od Polaka w restauracji.

Może zbliża nas i ta bardzo podobna cecha: kochamy jeść, kochamy o pracy mówić niefrasobliwie, o życiu w ogóle — nie za poważnie, o towarzystwie pań — godzinami! Może i ten historyczny fakt, że w obu naszych krajach najdłużej chyba trzymała się obyczajowość szlachecka, wielka własność ziemska, rody, wielki świat, który kiedyś dawno błyszczał, potem pobłyskiwał, a potem długo jeszcze chciał błyszczeć za wszelką cenę?...

Człowiek chodzi po ulicach węgierskich miast jak kompletny analfabeta. Napisy na szyldach, neonach i plakatach są szeregiem liter, które z niczym nam się absolutnie nie kojarzą. A mimo to czujemy się tutaj bardzo zwyczajnie, bez pozy, jak u siebie.

To bardzo przyjemne. Może ktoś bardzo mądry spróbowałby podjąć się zgłębienia praw, które by nam ułatwiły rozszerzenie cennych doświadczeń węgiersko-polskiej przyjaźni na wiele jeszcze miast i krajów naszej pięknej planety?

ĆWIEK

Redaguje zespół: Karol Badziak, Halina Bekowa (red. techn.), Wacław Biliński (red. naczelny), Konrad Frejdlich, Jan Koprowski (kierownik działu kulturalnego), Andrzej Makowiecki, Jerzy Wilmański, Teresa Wojciechowska. Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie 4 zł; kwartalnie 12 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk. Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa" — Łódź, ul. Żwirki 17. Zam. 2972. XI. P-13.